

Listopad - Grudzień 2023 • nr 11-12 (197)

ECHO ZŁOTORYI

Cena: tylko 5 zł

ISSN 1897-4023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Kto jest bez winy...

Black Friday, Black Week, Sale 50%, końcówki serii, sezonowa wyprzedaż... Niech rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie skusił się na te zakupowe okazje. Sama mam na sumieniu tyle grzeszków konsumenckiej niefrasobliwości, że gdyby w dekalogu był punkt: „Nie trwój pieniędzy na głupoty”, nie wyszłabym z piekła po wsze czasy. Gdyby faktycznie istniało takie przykazanie i byłoby piekło, to producenci smoty nie nadążaliby z dostarczaniem jej w czarcie otchłanie. Wystarczy tuż przed weekendem zerknąć na parkingi przed marketami, handlowymi pasażami czy galeriami. Właśnie – galeriami. Jak łatwo i szybko słowo, zarezerwowane dla przybytku ducha stało się synonimem świętyni konsumpcji.

Doczekałam czasów, kiedy to, co jako dziecko oglądałam w zagranicznych katalogach, w lepszym, nowocześniejszym i realnym wydaniu dziś leży na uginających się sklepowych półkach. Jako kilkulatka z szeroko otwartymi z zachwytu oczami wertowałam strony niemieckich Quelle czy innych Neckermanów i „zamawiałam” w wyobraźni to, o czym marzyłam. Chciałam być dorosła, mieć dużo pieniędzy i żyć w świecie z katalogów.

Dziś rolę katalogów przejęły reklamy w sieci. Chcąc nie chcąc, rzucam okiem na podsuwane mi przez sprytny algorytm kolejne sukienki, buty, torebki, kremy do prasowania zmarszczek, wyszczuplające herbaty, majty wypłaszczające boczek i inne rzeczy, które według wirtualnego akwizytora mieć powinnam. Ile razy daję się skusić na te sztuczki! Ile razy kupuję coś, czego mieć nie muszę, bo zapełnia mi tylko już i tak pękatą szafę, ale samo kupowanie nakręca moje emocje, a późniejsze oczekiwanie na kurierka lub wyprawa do paczkomatu dopełnia wszystkiego. Przez chwilę jest fajnie.

Myszę o tym z poczuciem winy, bo wiem, że w kupowaniu, wręcz kompulsywnym nabywaniu rzeczy nie ma nic dobrego. Ani dla mnie, ani dla środowiska. Próbuję się tłumaczyć tym, że być może rekompensuję sobie w ten sposób czasy dzieciństwa, kiedy na półkach w sklepie leżały kurz i powietrze, a gdy „rzucano” atrakcyjny towar, nigdy nie było pewności, czy dla stojących w kolejce wystarczy tych dóbr.

Dlatego oszczędzało się. Nie tyle pieniądze, bo one miały niską wartość nabywczą, ale rzeczy. Ozdoby świąteczne kleiło się z bibuły i kolorowego papieru. Nijakie koszulki, farbowało się domowym sposobem. Niekształtne spodnie, samodzielnie przerabiano. Dziurawe swetry i skarpety cerało się, rozklejone buty reperował szewc, rajstopy, w których „poszło oczko”, nosiło się do repasacji, zepsute parasolki „reanimował” fachowiec. Do naprawy trafiały młynki do kawy, miksery, nie mówiąc już o telewizorach.

Dziś nikt sobie nie zawraca głowy naprawianiem zepsutych przedmiotów, tatanie dziurawej odzieży. Po prostu kupuje się nowe, bo jest, bo można, bo nas stać...

I ta nowa tradycja nie dotyczy tylko rzeczy, ale i ludzi. Zepsutych relacji też nie chce się już nam kleić, wyrzucamy ze swojego życia tych, u których znaleźliśmy rysę, defekt, którzy się znudzili, rozczarowali, zirytowali nas. Czy po prostu przestaliśmy z nimi być szczęśliwi. Bo teraz poradniki mówią, że wypada być szczęśliwym. Za wszelką cenę. Nieważne czy to Black Friday czy Blue Monday.

Udanym zakupów życzę ☺.

 Iwona Pawłowska



Lubią, gdy tętni życie

Jest środek listopadowego tygodnia, gdy podjeżdżam na parking pałacu w Krotoszycach. Nie spodziewam się, że będę miała problem z zaparkowaniem samochodu. A tu niespodzianka – wszystkie miejsca zajęte przez auta przedstawiciele jednego z ubezpieczycieli. Nie wiem, czy wybrałam najlepszy dzień na rozmowę z właścicielkami hotelu i restauracji, ale nie daję za wygraną i liczę, że znajdą dla mnie chwilę.

Matka i córka – Bogusława Chamska i Ewa Spychała nie robią żadnego problemu, by przy kawie opowiedzieć o tym, jak rozdzielił się pomysł na biznes i co z tego zamierzenia dziś okazało się sukcesem.

Bogusława wspomina, że mąż kupując pałac, zrobił jej niespodziankę. Po prostu pewnego dnia zawiózł ją do Krotoszy, wioski, w której nigdy nie była i pokazał jej zabytkową budowlę, mówiąc, że to teraz należy do nich i urzędzą tu hotel i restaurację. Na początku mieli tylko budynek pałacowy, potem dopuścili zabudowania gospodarcze (w jeszcze gorszym stanie niż pałac). Wszystko wołało o remont. Stan pałacu był zły, szczególnie zniszczony był dach, który przeciekał i woda zalewała stropy. To był ostatni moment, by uratować budynek, oczywiście pod czujnym okiem konserwatora zabytków. *W zapuszczonych budynkach folwarcznych, które kiedyś służyły za magazyny, nie było nawet posadzek* – wspomina Ewa Spychała.

Bogusława przyznaje, że na początku była przerażona niespodzianką. Nie tyle remontami, bo tym miał zająć się mąż, który ma firmę budowlaną, ale samym przedsięwzięciem stworzenia hotelu i restauracji, ponieważ nigdy nie miała kontaktu z gastronomią, nazwijmy to, od kuchni. Dlatego wraz z córką rozpoczęły od szkoleń dla branży hotelarsko-gastronomicz-

nej. Ewa podjęła kolejne studia, tym razem było to zarządzanie turystyką i hotelarstwem. Jak sama mówi: świetnie udało jej się łączyć teorię z praktyką.

Teoria teorią, ale najważniejsza było działanie. Rozpoczęły od najważniejszego kroku - zatrudnienia znakomitego szefa kuchni, który pełnił też funkcję menadżera. *Dużo się od niego nauczyłam* – przyznaje Bogusława.

Niezawodny personel to duża szansa na sukces. Od początku Pałac Krotoszyce był pracodawcą dla około 20 osób. Tyle osób obsługiwało restaurację, 16 pokoi, park.

W czerwcu 2010 roku w nowiułkiej restauracji odbywa się pierwsze wesele. Tak rozpoczyna się nowa era Pałacu Krotoszyce. Rok później powstaje basen i mniejsza sala konferencyjna nad strefą spa.

Po pięciu latach od uruchomienia obiektu powstał kolejny budynek dla gości. Skorzystaliśmy z funduszy unijnych i udało nam się poszerzyć bazę noclegową – mówi Bogusława Chamska. *Wtedy też powstała sala konferencyjna, którą nazywamy Platanową, oczywiście od platanu, który rośnie w naszym parku* – dodaje Ewa Spychała. *Dzięki tej sali mogliśmy przyjmować na*

prawdę duże grupy gości.

Dziś rozrastający się hotel i popularna wśród gości restauracja to duże wyzwanie dla właścicieli, którzy muszą poddać się dyktatowi rynku, na którym zauważalny jest deficyt pracowników. Właścielki przyznają, że dzięki uczniom i studentom, których zatrudniają na umowy zlecenia, udaje im się zapewnić wysoki poziom usług podczas imprez okolicznościowych. Bardzo też sobie cenią kucharzy wyszkolonych przez pierwszego szefa kuchni.

Dzięki lojalnej załodze Pałac Krotoszyce przetrwał najgorszy okres, czyli pandemiczny lockdown. Ratując się przed kryzysem, restauracja oferowała dania na wynos, na dowóz, gotowe obiady w słoikach.

Ewa Spychała przyznaje, że też dużo pomogła jej siostra Emilia, która jako dyrektor finansowy Pałacu zadbała o pozyskanie funduszy z tarcz antykryzysowych. Niewątpliwą zaletą rodzinnych biznesów jest to, że wszyscy czują się jednakowo odpowiedzialni za trwałość przedsięwzięcia. Firma transportowo-budowlana, która też należy do rodziny, bywa czasami zaplecem finansowym. Bez tej drugiej działalności nie udałoby się tak szybko wyremontować budynków, rozbudować kompleksu hotelowego, a czasem też dołączyć do jego funkcjonowania w trudniejszych momentach. Choć tych ostatnich na szczęście nie ma

wiele, bo właścicielki raczej nie mogą narzekać na brak gości. Cały rok coś się dzieje. Są oczywiście okresy, kiedy jest mniej pracy w hotelu. To pierwsza połowa stycznia i kwiecień. Wtedy same pozwalają sobie na urlop. Ale nawet na urlopie, bywając w innych hotelach i restauracjach, podpatrują interesujące rozwiązania, by wyko-

rzystać je u siebie. To inspirowanie się innymi lokalami praktykują również, odwiedzając ze swoimi kucharzami dobre restauracje, na przykład we Wrocławiu. Wszystko po to, aby w Krotoszycach gość czuł się dopieszczony.

Jacy goście najczęściej wybierają Pałac Krotoszyce? Często są to goście biznesowi, którzy przybywają na krótkie pobyty. Sprzyja temu położenie Krotoszyce w pobliżu A4 i S3. Tacy goście dominują w dni powszednie. Popularnością cieszą się też pobyty weekendowe, pobyty romantyczne dla par, coraz więcej pojawia się też turystów, dla których Krotoszyce są bazą wypadową do innych interesujących miejsc, a tych na Pogórzu Kaczawskim nie brakuje. Dla gości hotelowych i nie tylko obiekt ofe-



ruje poza basenem łaźnię suchą, łaźnię parową, gabinet masażu (należy wcześniej rezerwować masaż).

Pałac Krotoszyce jest atrakcyjnym miejscem dla tych, którzy chcą tu zorganizować wesela, imprezy rodzinne lub branżowe. Dzięki temu, że pięć lat temu Salę Ba-

łową uzupełniła Sala Platanowa w ciągu weekendu na raz mogą odbywać się nawet dwa wesela. W tym samym czasie funkcjonuje również restauracja dla gości hotelowych i tych, którzy przyjeżdżają na chwilę na obiad lub deser.

Organizacja wesela to dość duże wyzwanie dla nas i personelu, ale bardzo przyjemne – przyznaje Bogusława Chamska. Ale też



stresujące – dodaje Ewa. Najbardziej mnie stresuje, czy spełnimy oczekiwania osób zamawiających u nas imprezę. Czy będą zadowoleni.

Obie właścicielki przyznają, że duże imprezy to pełna mobilizacja. Młode pary teraz chcą, żeby impreza była dopięta na ostatni guzik według harmonogramu, bez marginesu na spontaniczność. Wtedy wszystko jest określone, każdy szczegół, a to według Ewy bardzo im pomaga, bo jasno określa ich zadania. Jest plan i według planu postępujemy. Lubię to – przyznaje Ewa. Wszyscy wiedza, co mają robić i wtedy stres jest mniejszy. Gorzej jest, kiedy goście nie do końca potrafią określić, czego chcą.

Co jest największym atutem Pałacu Krotoszyce? Czym przyciąga gości? Ewa twierdzi, że kuchnia. Nawet najpiękniejsza sala czy ładnie utrzymany park nie przyciągną gości, jeśli nie będzie dobrego jedzenia i kompetentnej obsługi. A to są nasze walory, dzięki którym ludzie nas wybierają. Od samego początku kuchnia pałacowa wydaje wciąż cieszącą się niestabną popularnością polędwiczki zawijane w boczku z sosem grzybowym i plackami ziemni-

czanymi. Są takie dania, których nie możemy usunąć z karty, bo goście na to nie pozwalają – śmieje się Ewa. Poza polędwiczkami jest to krem z pomidorów i czekoladowy fondant. Żeby ten fondant był taki, jak trzeba, robiliśmy wiele prób, ale teraz doszliśmy do perfekcji – dodaje Bogusława.

A o popularności Pałacu świadczy fakt, że rezerwacje na imprezy rodzinne, na przykład komunie właścicielki przyjmują już na 2026 rok.

Nad takim biznesem jak hotel i restauracja trzeba czuwać w każdy dzień tygodnia. Bogusława i Ewa są w Krotoszycach prawie codziennie. Nawet jak ich tu nie ma, to trzymają rękę na pulsie zdalnie. Wszystkie ważne decyzje podejmują wspólnie i jak twierdzą – nie ma między nimi zgrzytów.

Jak dziś Bogusława ocenia niespodziankę, jaką był zakup pałacu w Krotoszycach przez jej męża? Nie żałuje tej inwestycji. Hotel i restauracja dają jej ogromną satysfakcję. Teraz chciałaby, aby to Ewa przejęła stery w biznesie, ale córka nie wyobraża sobie, by sama miała zarządzać Pałacem, a i sama Bogusława przyznaje, że nie wie, co mogłaby robić bez pracy.

Czy branża hotelarsko-gastronomiczna to dobry pomysł na życie? Obie właścicielki zgodnie mówią, że na pewno jest to ciekawa praca. Kontakt z ludźmi – mówi Bogusława – to jeden z atutów tej pracy. Ciągle spotykamy nowych ludzi. Mimo że prowadzimy biznes tyle lat, to zawsze ktoś nas potrafi czymś zaskoczyć – dodaje Ewa. To daje adrenalinę, a ja ją lubię. Lubię też wyzwania. Lubię, jak obiekt tętni życiem. Uwielbiam ten widok, kiedy wchodzę do restauracji i jest dużo gości – mówi Ewa.

Sam pałac, zakupiony jako pierwszy, dziś, wbrew pierwotnym zamiarom nie jest budynkiem hotelowym. Na razie. Jest plan, by w najbliższym czasie, kiedy tylko skończą się ostatnie prace, również tam urządzić pokoje. Firma się rozwija i trzeba dać jej przestrzeń.

Pytam, czy nie mają pokusy same zamieszkać w pałacu, ale obie zgodnie twierdzą, że nie. Po pierwsze nie czują się jak panie na włościach, a po drugie trzeba umieć oddzielić pracę od życia prywatnego.

Kiedy kończymy rozmowę, w sali restauracyjnej pojawia się spora grupa gości. Zaczyna się przerwa obiadowa dla szkolących się tu dziś ubezpieczycieli. Gwar wypełnia salę. I to jest właśnie to, co nam się w tej pracy najbardziej podoba – puentuje rozmowę Bogusława.

Iwona Pawłowska



Złotoryjskie bombki u znanych i lubianych



Złotoryjskie bombki ozdabiają choinki w wielu miejscach. Dzięki Starszemu Cechu Rzemiosł Różnych, Andrzejowi Piekutowi złotoryjskie bombki trafiają w ręce znanych osób. Okazją są uroczystości organizowane przez Izbę Rzemieślniczą we Wrocławiu. Ozdoby te są specjalnie przygotowywane dla konkretnej osoby. Na zdjęciach Stanisław Sojka, Elżbieta Jaworowicz i Ewa Błaszczyk.

Andrzej Wojciechowski





Z Joanną Lamparską na Grodźcu

Wyjątkowo trudno było zdecydować się w dżdżyste, jesienne południe 18 listopada na opuszczenie domowych pieleszy i udać się na spotkanie z **Joanną Lamparską**. Grodziec to wprawdzie niedaleko, ale sobota... Jednak znane nazwisko prelegentki przyciągnęło, nie tylko mnie, ale i kilkadziesiąt innych osób. Sala kominkowa na zamku zappełniła się miłośnikami jej reporterskiego i detektywistycznego talentu. Po słowie wstępnym kasztelana Mariusza Garbery, rozpoczęła się opowieść o dolnośląskich tajemnicach. Nie była to typowa prezentacja, do jakiej nas przyzwyczaili inni prelegenci, ale raczej podróż po okolicznych zakątkach, z których każdy zawiera jakąś tajemnicę. Kolejne fotografie odkrywały coś fascynującego. Wstępem do prelekcji były notatki z powojennych gazet na temat skarbów znalezionych na Dolnym Śląsku, nie tylko schowanych przez ich właścicieli, ale i wywiezionych z miejsc objętych działaniami wojennymi. Mowa tu, m.in. o słynnej Nefretete z muzeum w Berlinie, czy obrazie Lucasa Cranacha Starszego „Opłakiwanie Chrystusa”, który znalazł się w pierwszym transporcie 2 czerwca 1942 roku z Wrocławia do Kamieńca Żąbkowickiego. Tam przeleżał wraz z innymi obrazami do lutego 1946 r. w kaplicy, wtedy został wycięty z ram i wykradzony. Trafił do Szwecji, udało go się odzyskać dopiero 4 lata temu. Inną ciekawostką jest historia muzykaliów

skradzionych podczas wojny w całej Europie, a zgromadzonych w pałacu w Czernicy k. Jeleniej Góry. Pani Joanna nawiązała następnie do pałacu w Grodźcu, którym zainteresowała się z racji zamiarów



jego przedwojennego właściciela - Herberta von Dirksena, który chciał przyjąć do siebie archiwa, meble, zbiory muzealne, min. 5 tys. książek z Instytutu Europy Wschodniej z Wrocławia. Sam był miłośnikiem porcelany. Pokazała wnętrza

pałacu, będącego obecnie własnością prywatną i opowiedziała o jego niektórych, tajemniczych pomieszczeniach.

W drugiej części spotkania J. Lamparska przedstawiła swoją najnowszą publikację pt. „**Lekarze od zabijania**”, przeznaczoną, jak ją nazwała „dla osób lubiących trudniejsze, poważniejsze lektury”. Jest to książka przybliżająca czytelnikowi temat medycznej gwardii Hitlera, czyli „zaledwie trzystu i aż trzystu” lekarzy w obozach koncentracyjnych. Wybrała ośmiu z nich, dla których jednym z miejsc „pracy” był obóz w Gross-Rosen, tak jak np. dla Friedricha Entressa czy Karla Babora. Autorka napisała w postłowie, że „Ta książka powstawała w złości. Lekarze z SS „w pracy” nie byli zwykłymi ludźmi. Swoje człowieczeństwo zostawiali przed bramą obozu”. Po przeczytaniu tej książki zadaję sobie pytanie, co sprawiło, że lekarze, którzy składali przysięgę Hipokratesa, nie ratowali życie, tylko je odbierali. Warto samemu spróbować poszukać odpowiedzi. Ja nie rozumiem, jak to się mogło stać.

Wioleta Michalczyk



Zawód: bard

Gitara, papierosy, mocny alkohol, zawite teksty, które swą trudnością przyprawiają o zawroty głowy, czy po prostu.. Jacek? Choć może aż Jacek Kaczmarski, bo o nim w dzisiejszym tekście mowa, z pewnością osobom, które natknęły się na jego postać, kojarzy się z czymś dawnym, wręcz ze zjawiskiem przestarzałym. Ubiór - też lekko pradawny. Muzyka - rodem z królewskich dworów. Czy faktycznie ten Kaczmarski aż tak się zestarzał? A może nigdy nie był

„młodym” artystą?

Słowa, które zestawiłem na samym początku, mogą budzić skojarzenia z kilkoma osobami na raz. Bo z jednej strony wysuwa nam się obraz osoby z marginesu społecznego, z drugiej zaś kogoś, kto pisze i śpiewa. Co ciekawe, Kaczmarski pisał i śpiewał, ale też swoim zachowaniem niejednokrotnie dawał się poznać jako ktoś spoza dobrze wychowanego towarzystwa. W środowisku bliskiemu Kaczmarskiemu, krąży pogłoski, jakoby warszawski bard, przemierzając Stany Zjednoczone w ramach trasy koncertowej, stał się ojcem wielu dzieci. Możliwe, że to tylko plotki, choć patrząc na życiorys pieśniarza, nic nie może dziwić. Skandale alkoholowe podczas występów - codzienność. Jednak, za co warto docenić Kaczmarskiego, nigdy nie wypierał się swoich upodobań do różnych ekscesów. Ba! Nawet wydał płytę pod tytułem „Pijany poeta”, na której to śpiewa piosenki z bardzo mocnym natchnieniem... Ale dobrze, skoro na samym wstępie udało mi się pokazać, że bard nie był nudnym człowiekiem, chodzącym w starym swetrze i w lekko przymałych spodniach, chciał

bym się teraz skupić na tym, co powinno być najważniejsze, czyli tekstach. Czy teksty Kaczmarskiego są aktualne w dzisiejszych czasach? Jak najbardziej! Są dziś, ale będą także jutro i za lat dwadzieścia. Czy piosenki te trafiają do młodzieży? Jak najbardziej... nie! Podobnie, jak w przypadku jegomości, którego zdarzyło mi się opisywać w poprzednim artykule (Bruno Jasieński), tak i w tym przypadku możemy mówić o niewykorzystanym talencie. Pieśniarz cieszył się sławą za życia, wieczności w pamięci odbiorców sobie jednak nie zapewnił. Być może za trudne teksty? Być może archaiczna oprawa muzyczna? Tego nie wiem, jednak jestem przekonany, że poezję Kaczmarskiego czekają bardzo ciężkie czasy. Być może „cierpienia Norwidowe”, aż ktoś w końcu odkopie jego wiersze i dostrzeże w niej ponadczasowość godną uznania.

Czy ostatecznie Kaczmarski się postarzał? Na to pytanie każdy powinien odpowiedzieć sobie sam. Pewne jest, że stał się kolejnym poetą wybitnym, zmierzającym do dołu lirycznego zapomnienia. Do dołu, w którym spoczywa wielu uzdolnionych artystów, którym nie udało się zasmakować ponadczasowości.

Jakub Rębisz LO Złotoryja



Miłośnicy słowa w Pielgrzymce

W Gminnym Centrum Kultury i Bibliotece im. Zenona Bernackiego w Pielgrzymce, pod okiem Małgorzaty Semeniuk, działa Klub Miłośników Słowa. Jego członkowie od wielu lat biorą udział w konkursach ogłaszanych w Ramach Targów Książki Regionalnej SILESIANA przez Dolnośląską Bibliotekę Publiczną im. Tadeusza Mikulskiego we Wrocławiu. W ostatnim czasie klub działa również w świetlicy wiejskiej w Ja-

strzębniku, gdzie oprócz prowadzenia kroniki miejscowości, poznawania historii oraz gminnych legend, uczestnicy próbują swoich sił w tworzeniu wierszy. Pod koniec września w Wiejskim Domu Kultury odbyło się uroczyste wręczenie publikacji 12. edycji konkursów: zbioru wierszy - „Młody Poeta Dolnego Śląska” i opowiadań dolno-

śląskich seniorów - „Zjawy, duchy, straszdyła Dolnego Śląska”. Z naszego klubu wzięło w nich udział osiem osób: Helena Szulkowska, Jadwiga Poznar, Anna Skorupińska, Elżbieta Skorupińska, Małgorzata Semeniuk, Paweł Kanikowski, Jakub Zapłata i Zofia Dertkowska, reprezentująca klub w Jastrzębniku. Za opowiadanie „Zjawy, duchy, straszdyła Dolnego Śląska” zaszczytne II miejsce przyznano Pani Helenie Szul-

kowskiej, która od 2013 roku bierze udział w pisaniu opowiadań dolnośląskich seniorów. Koordynatorką konkursu jest starszy bibliotekarz Regina Piszczatka. Dopelnieniem spotkania pasjonatów była prezentacja FORTUNY – przepięknej pracy lokalnego rzeźbiarza Andrzeja Mirka. Mottem pracy twórczej mogą być słowa Billego Joe Armstronga: „Nasza pasja jest naszą siłą”,

Małgorzata Semeniuk





<https://www.instagram.com/keicoelperroviajero>

Po drodze z Madrytu do Tokio

Wtorek, 7 listopada był naprawdę niezwykłym dniem i to nie tylko za sprawą wyjątkowej jesiennej aury. Pogodny, ciepły ranek przyniósł nam niespodziankę jeszcze bardziej zaskakującą niż wysoka, jak na tę porę roku, temperatura. Kiedy rozpoczęły się lekcje, nauczyciele wychowania fizycznego ze zdumieniem stwierdzili, że na terenie naszych boisk pojawił się nieznanym dotąd obiekt w postaci... namiotu turystycznego. Co więcej, obiekt ten okazał się zamieszkały przez pewnego osobnika wraz z psem!

Nie minęło wiele czasu, kiedy okazało się, że ów człowiek to niestrudzony obywatel, który wyruszył ze swojego rodzinnego miasta, czyli Madrytu, aby ostatecznie zakończyć swoją podróż w ...Tokio! Tak niezwykłych gości w ZSZ nie zostawiamy samych sobie, więc bardzo szybko pan Sel López (bo tak właśnie nazywał się nasz

gość) usłyszał od naszych wuefistów, że może liczyć na gorący prysznic, śniadanie, a nawet kawę w towarzystwie pana dyrektora! Nic dziwnego, że Sel nie wahał się nawet przez chwilę i z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Keico (czyli jego czworonożny towarzysz podróży) też w mig zrozumiał, że jest w naszej szkole mile widzianym gościem. Po upragnionym prysznicu i małym porannym „co nieco”, Sel złożył wizytę w pokoju nauczycielskim, gdzie poznał nasze grono pedagogiczne i uznał, że koniecznie musi mieć z tego wydarzenia jakąś pamiątkę, choćby w postaci wspólnego zdjęcia. Tak się właśnie stało.

Następnie przyszła pora na kawę w gabinecie pana dyrektora, w którym pojawiły się również panie wicedyrektorki, zaciekawione pojawieniem się tak nietuzinkowego gościa. Panu Lópezowi spotkanie w tym sympatycznym gronie podobało się tak bardzo,

że nie tylko poprosił o drugą filiżankę kawy, ale też zgodził się udzielić nam wywiadu. Oto jego zapis:

Daniel Kiewro: Dlaczego zdecydowałeś się na tak długą podróż rowerem z Madrytu do Tokio, a na dodatek w towarzystwie swojego psa?

Sel López: Podróż z Hiszpanii do Japonii to pomysł, z którym nosiłem się już od dawna. Od wielu lat rower stanowi mój ulubiony środek transportu, niemniej ta wyprawa z psem była naprawdę czymś przypadkowym. Na początku planowałem samotną podróż, ale wtedy to pojawił się na świecie Covid i musiałem niestety odwołać swoją wyprawę, ponieważ takie przedsięwzięcie stało się po prostu niemożliwe. Wtedy pojawił się w moim życiu Keico, czyli pies rasy Jack Russell Terrier, który wówczas miał zaledwie dwa miesiące. Ponieważ nie zrezygnowałem z pomysłu odbycia podróży, podjąłem decyzję, że kiedy już będę mógł wyruszyć w drogę, to zrobię to właśnie z Keico. Tak więc, kiedy nadszedł odpowiedni czas, dostosowałem plan swojego projektu w taki sposób, aby Keico mógł podróżować wraz ze mną. Zakupiłem mały wózek rowerowy, aby móc go w nim bezpiecznie przewozić.

D.K.: Od jak dawna podróżujesz i jakie były cele twoich poprzednich podróży?

S.L.: Moje podróże rowerowe trwają już od kilku lat. Poprzednia wyprawa była z Madrytu do Nepalu. W sumie trwała ona 39 miesięcy, a w tym czasie zdołałem pokonać 65000 km i przejechać przez 41 krajów.

D.K.: W jaki sposób nasza szkoła stała się przystankiem na twojej trasie?

S.L.: Spędzenie nocy w waszej szkole było tak naprawdę zupełnym przypadkiem, ponieważ kiedy przyjechałem do Złotoryi, zacząłem poszukiwać spokojnego miejsca na nocleg. Zwykle wybieram obiekty sportowe i boiska piłkarskie. Przypadek sprawił, że znalazłem tę szkołę, wcale o tym nie wiedząc, ponieważ myślałem, że rozbiłem obóz na terenie obiektu sportowego i jakież było moje zdziwienie, kiedy następnego dnia okazało się, że oprócz boisk sportowych znajduje się tutaj także szkoła.

D.K.: Jak podobał ci się pobyt w naszym mieście i w naszej szkole?

S.L.: Muszę powiedzieć, że Polska mnie naprawdę urzekła. Złotoryja bardzo mi się podoba, ale przede wszystkim ujęli mnie jej mieszkańcy, którzy okazali się bardzo przyjaźni i gościnni, co przecież jest tym, czego naprawdę szuka podróżnik. Podczas wypraw widzi się wiele pięknych miejsc, ale ostatecznie pozostajemy ze wspomnieniami ludzi, których spotykamy na szlaku, a w tym mieście rzeczywiście czułem tę gościnność oraz hojność.

D.K.: Co myślisz o naszym kraju i Polakach po tych kilku dniach spędzonych w Polsce?

S.L.: Jak powiedziałem wcześniej, jestem pod wielkim wrażeniem waszego kraju. Jest to zupełnie inne miejsce niż pozostałe państwa w Europie, które widziałem. Wasza architektura jest niesamowita, podobnie jak wasze krajobrazy, lasy, ale ostatecznie, jak już zaznaczyłem, pozostanę ze

wspomnieniem poznanych tutaj ludzi. Niewątpliwie jest to jeden z krajów, w którym czuję się najbardziej jak u siebie w domu.

D.K.: Jakie masz plany związane z pobytem w Polsce i do jakiego kraju planujesz się

muszę przejechać przez Litwę, Estonię i Łotwę, zanim przejadę przez całą Rosję, aby dostać się do Władywostoku, a następnie promem udać się do Korei Południowej, a później kolejnym do samej Japonii.



udać w następnej kolejności?

S.L.: Prawdę mówiąc, nie robi się wielu planów, kiedy człowiek podróżuje w ten właśnie sposób. Trzeba pozwolić sprawom płynąć swoim torem. Mam świadomość, że moim ostatecznym celem jest Tokio, a resztę odkryję w miarę upływu czasu. Wiem, że

D.K.: Kiedy planujesz przyjechać do stolicy Japonii i co zamierzasz zrobić po zakończeniu podróży?

S.L.: Naprawdę nie mam pojęcia, kiedy uda mi się dotrzeć do Japonii. Zależy to od wielu czynników, zwłaszcza od pogody, a jak wiadomo, mamy już zimę i podróżowanie

w tym czasie będzie na pewno skomplikowane, więc nie mogę obecnie podać żadnej konkretnej daty. Jeśli chodzi o dalsze plany, to...nie dotarłem jeszcze do Tokio, więc o kolejnych zamiarach nie mogę tak naprawdę nic powiedzieć. Przede wszystkim muszę tam po prostu się znaleźć, a reszta okaże się na miejscu. Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej na temat tego niezwykłego podróżnika i wirtualnie towarzyszyć mu w podróży, to możecie to zrobić śledząc jego profil na Instagramie.

Przetłumaczył i spisał: Daniel Kiewro





Rzeź drzew

Gdy sadiłem modrzewie w ogrodzie i powstałem z kolan, żeby rozprostować krzyż, spojrzawszy w górę, gdzie kołysał się dostojnie krewniak drzewa, które właśnie umieściłem w ziemi. 30 lat potrzebował, żeby urosnąć do rozmiarów Baszty Kowalskiej. Czas szybko leci i zanim człowiek się obejrzy...

Małe drzewo, mały kłopot, duże drzewo... może sprawić kłopot. Zwłaszcza, gdy zabraknie wyobraźni przy doborze miejsca lub gatunku. Wtedy „nagle”, po kilkunastu latach okazuje się, że konary drapią ścianę, liście zapychają rynny, korzenie wyruszają chodnik, albo wgrzają się w kanalizację, a w ogóle w domu jakby ciemniej się zrobiło.

Mam bardzo emocjonalny stosunek do

Przeglądając stare widokówki i zdjęcia Złotoryi, zwłaszcza te przedwojenne, widzę na nich wiele drzew, często w miejscach, w których dzisiaj ich już nie ma. I na odwrót, puste onegdaj przestrzenie, dzisiaj są pełne drzew i krzewów. Jest jednak jedna charakterystyczna rzecz.

W ścisłej zabudowie drzewa były znacznie mniejsze niż otaczające je budynki. Wiele z nich starannie uformowano. Widać, że miejsca ogrodnicy kształtowali je wprawna ręką, aby nadać ładną formę, ale przede wszystkim, aby nie przesłaniały, a może również nie zagrażały stojącym przy nich budynkom. Widać w tym plan, przemyślaną koncepcję – od doboru gatunku, miejsca posadzenia, po prowadzenie rośliny przez lata.

Po 1945 r. jeszcze przez kilka lat w Złotoryi pracowali niemieccy ogrodnicy. Ci, którzy pamiętają z powojennych lat Górkę Mieszczarską i złotoryjskie aleje, podkreślają, że były one doskonale utrzymane, pełne różnorodnej roślinności. Prawdopodobnie stale następowała wymiana pokoleniowa, ale również aranżacja szaty roślinnej. Znakomicie widać to na przykładzie

widokówek z pierwszej połowy dwudziestego wieku. Te same place, te same ulice często w ciągu zaledwie kilku lat zmieniały diametralnie wygląd.

Los starych drzew

Złotoryja ma przeszło 800 lat. Najstarsze drzewo w mieście liczy prawdopodobnie

nie około 230 – 250 lat. Jest to dąb szypułkowy przy Ośrodku Szkolno-Wychowawczym. Dęby generalnie żyją od 200 do 400 lat, choć zdarzają się egzemplarze milenijne. Większą przeciętną żywotnością wykazują się lipy, czy modrzewie. Inne wiekowe okazy nie przekroczyły jeszcze 200 lat. Gdzie więc podziały się te wszystkie, wspaniałe stare drzewa? Odpowiedź jest i prosta, i brutalna: dla drzew w obrębie murów obronnych miasta po prostu nie było miejsca. Teren ten był zbyt drogi, aby utrzymywać taki luksus. A drewno było cennym materiałem budowlanym, a także służyło jako opał. Patrząc na ówczesną Złotoryję z lotu ptaka, widzimy nagie od drzew przestrzenie wokół miasta.

Widokówka przedstawiająca Złotoryję w roku 1711 od strony pl. Władysława Reymonta.

Dlatego na rycinach przedstawiających Złotoryję w czasach dawnych, generalnie mało jest zieleni. Na widokówkach z przełomu XIX i XX wieku centrum Złotoryi to kamienna pustynia z niewielką liczbą pojedynczych, z reguły niewysokich drzewek.

Drzewa na starych widokówkach

Na zdjęciach lotniczych z lat 30. XX wieku wyraźnie widać, że w centrum miasta, w ścisłej zabudowie nie dopuszczano do zbyt dużego wzrostu drzew. Co innego na przykład przy alei zwanej przed wojną Promenadą, czyli dzisiejszą al. Miłą.

Potężne drzewo stało też prawdopodobnie na dzisiejszym placu Lotników Polskich oceniając pomnik cesarza Wilhelma.

Lipy przy fontannie Delfinów – prawdopodobnie lata 20. XX w.

Sławna lipa, która dekadę temu spłonęła przy fontannie Delfinów, sięgała wówczas zaledwie wysokości drugiego piętra starego ratusza.

Dolny Rynek, drzewa przy obecnej fontannie Górników – widokówka wysłana w 1913 r.

A okalające fontannę na dolnym rynku lipy na początku wieku były zaledwie kilkunoletnimi wyrostkami.

Trudne wybory przy rewitalizacji obszarów miejskich

Dzisiaj w naszym Mieście toczy się dyskusja na temat wycinania drzew. Wiele osób wręcz krytykuje, że przy budowie dróg i chodników, zagospodarowaniu podwórek i innych inwestycji ścielą się one pokotem. Zbieramy cięgi, gdy przedstawiamy kolejny projekt zagospodarowania terenu, gdzie znowu trzeba usunąć coś zielonego. Jednym słowem rysuje się wręcz obraz katastrofy ekologicznej.

Rewitalizowane podwórko przy ul. Sto-



Na przedwojennych widokówkach uwagę zwracają nasadzenia w przestrzeni miejskiej. Drzewa nie są zbyt wysokie. Prawdopodobnie była to przemyślana polityka gospodarowania zielenią na terenie miasta.

necznej. O wycięcie części drzew postulowali mieszkańcy. Podczas prac okazało się, że kolejne drzewa są chore lub częściowo uschnięte.

Faktem bezspornym jest, że w ostatnich latach w związku z różnymi inwestycjami na terenie Złotorii wiele drzew zostało wyciętych. Ich duża liczba wynika wprost z niespotykanej dotąd skali inwestycji, któ-

tować kilka klonów kulistych, przesadzając je z powodzeniem nad Zielone Oczko. Każdorazowo w miejsce wyciętych pojawiają się nowe nasadzenia i to w znacznie większej liczbie. Mało tego, w wielu miejscach, gdzie do tej pory drzew nie było, sadzimy je.

W poszukiwaniu harmonii między urbanizacją a naturą

jających się w naturalnym środowisku. Dlatego tak ważny jest właściwy dobór sadzonek. Przewidywanie, jakie fazy rozwoju przejdzie dana roślina. Czy w przyszłości nie będzie nam przeszkadzać, szkodzić, lub zagrażać.

Złotorija od wielu lat jest zielonym miastem, osadzonym w zielonym (wiosną również – żółtym) krajobrazie. Drzew nigdy nie



Porównanie zadrzewienia przed wojną i współcześnie na podstawie drzew lotniczych

re prowadzimy, ale też potrzeb zgłaszanych przez mieszkańców. Projektanci kilkadziesiąt lat temu nie przewidzieli, w jakim kierunku podążać będzie urbanizacja. Kto w latach 50, 60, 70, 80 mógł przypuszczać, że kiedyś każdego będzie stać na samochód? Natomiast należy wyraźnie zaznaczyć, że tam, gdzie tylko jest to możliwe, staramy się, albo zachować drzewa, albo tak zmodyfikować projekt, żeby nie wchodzić z nimi w kolizję. Takim dobrym przykładem jest rozwidlenie ścieżki pieszo-rowerowej przy ul. Hożej, która omija w ten sposób dorodne brzoze i świerka. Przesunęliśmy również pierwotnie zaprojektowane przejście o kilkadziesiąt metrów, aby uratować parę dorodnych sosen. Innym przykładem jest budowa ronda na placu Władysława Reymonta, gdy udało nam się ura-

l druga bardzo ważna kwestia, którą warto poruszyć w związku z rewitalizacją podwórka. Często wiele lat wcześniej mieszkańcy własnoręcznie sadzili drzewa w różnych miejscach, nie przewidując, jak będą wyglądać, gdy w pełni wyrosną: jak będzie kształtować się ich system korzeniowy, jak rozrośnie się korona. Ktoś przyniósł topolę, ktoś kilka sadzonek wierzy, a ktoś jeszcze inny zasadził lipę pod oknami, żeby w lipcu upajać się zapachem.

Dla wielu drzew zabudowa śródmiejska nie jest dobrym środowiskiem do życia: ograniczona biosfera, zanieczyszczone powietrze i gleba, systemowe zacienienie, nadmiar lub niedobór wody, osłona od wiatru, to wszystko wpływa na to, że niektóre z tych drzew po prostu chorują lub są znacznie słabsze od swoich rówieśników rozwi-

jest za dużo. Pamiętajmy jednak, żeby działać mądrze i planowo. Dzisiaj prowadząc nasadzenia staramy się przywrócić harmonię pomiędzy urbanizacją a naturą. Prowadzimy gospodarkę zielenią bazującą na dotychczasowych doświadczeniach. Nie uciekamy także przed eksperymentowaniem co do doboru roślin, czy budowania nawierzchni przepuszczalnych.

Swoją drogą, pisząc ten tekst chciałem użyć synonimów słowa „drzewo”, żeby nie stosować powtórzeń. Większość słów w języku polskim ma takie zamienniki, bliżej lub dalej oddające ten sam sens. A drzewo – nie. Może wynika to z tego, że drzewo jest czymś zupełnie wyjątkowym?

Robert Pawłowski



Świerzawskie zaduszki

Tradycyjnie 1 listopada - w Święto Zmarłych udałam się na cmentarz, aby zapalić znicze na grobach bliskich, znajomych i przyjaciół. Po powrocie do domu przypomniałam sobie, że widziałam w Internecie plakat z zaproszeniem na koncert zaduszkowy, który odbywa się w niesakralnym kościele św. Jana i Katarzyny w Świerzawie. Postanowiłam wziąć udział w tym wydarzeniu. Przyznam, że byłam mile zaskoczona liczbą osób, które też podjęły taką decyzję. Małe wnętrze kościoła było wypełnione ludźmi. Z nadesłanej mi przez panią **Magdalenę Figę** - dyrektor Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie informacji wynika, że na spektaklu było ponad 300 widzów. Mnie osobiście zauroczyła przepiękna dekoracja prezbiterium, przedstawiająca park jesienią, oświetlenie i muzyka oraz śpiew, które nadawały przedstawieniu niepowtarzalny charakter. Po zakończeniu przedstawienia trudno było otrząsnąć się z niesamowitego wrażenia, jakie wywarło. Szczególnie, że odbywało się w tym szczególnym dniu, gdy wspominamy osoby, które odeszły. Poprosiłam panią dyrektor CKSiT, aby podzieliła się z naszymi czytelnikami sposobem na stworzenie takiego wyjątkowego wydarzenia.

Magdalena Figa: „Zaduszki Poetyckie” odbywały się w tym roku po raz 20. Od 4 lat mają one zupełnie inną formę. Początkowo były oparte na recytacji wierszy przez lokalną społeczność, połączonej z odgrywanym melodii na różnych instrumentach. Od 2020 r. wydarzenie to przybrało formę spektaklu teatralno-koncertowego, który jest efektem warsztatów aktorskich prowadzonych corocznie przez aktora jeleniogórskiego teatru Jacka Grondowego dla mieszkańców gminy Świerzawa, odbywających się na zlecenie CKSiT w Świe-

rzawie. W czasie pandemii w 2020 roku stworzyliśmy spektakl „Dziady”, w którym zagrali mieszkańcy gminy Świerzawa w różnym wieku. Nie można było wystawić tej sztuki na żywo, dlatego nagraliśmy film, który opublikowaliśmy w serwisie YouTube i na Facebooku. Obejrzało go łącznie 9 tysięcy osób. Od tamtej pory nie ograniczamy się tylko do recytowania wierszy. W każdy kolejny spektakl coraz liczniej włączają się mieszkańcy gminy Świerzawa. To grupa kilkunastu osób: uczniowie szkół podstawowych i średnich, dorośli, w tym nauczycielka języka polskiego oraz seniorzy. Cotygodniowe warsztaty, odbywające się w Świerzawskiej sali widowiskowej i w zimnych murach kościoła, polegają na tworzeniu scenariusza, podziale ról i zajęciach. Są to dziesiątki godzin prób, uczenia się tekstów, odpowiedniej artykulacji i przede wszystkim wzbudzania emocji u odbiorców. Aby spektakl był atrakcyjny, do wydarzenia do-

łączają lokalni artyści - osoby grające na różnego rodzaju instrumentach i lubiące śpiewać. W tym roku w spektaklu wystąpili: Jacek Grondowy oraz mieszkańcy gminy Świerzawa: Amelia Wątor, Nadia Gołuch, Szymon Rychlicki, Wojtek Romański, Marcin Leśniak, Teresa Sałata, Helena Szczęch, Urszula Figa-Krupińska, Teresa Kasak, Zofia Szymczyk, Krystyna Lewandowska, Aniela Tyka, Anna Feret. W części koncertowej wystąpili: Nadia Gołuch z niezwykłym wokalem, Gabriela Jędrzejczyk (wokalistka), Jarosław Mularczyk (gitarzysta i wokalista), Robert Wróblewski (klawiszista) oraz Łukasz Schmidt (saksofon sopranowy). Charakterystykę aktorów wykonała pani Justyna Bator - mieszkanka gminy Świerzawa.”

Filmy z nagraniami tegorocznego i poprzednich spektakli można obejrzeć na profilu Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w



Świerzawie na Facebooku. A ja już zapraszam naszych czytelników na kolejny spektakl.

Wioleta Michalczyk



Halina Sobota, która była naszą wychowawczynią w klasach 1-3. Uwielbiałam swoją panią do tego stopnia, że gdy kiedyś poprosiła mnie o to, abym poszła do łazienki umyć jej szklankę, to opowiadałam o tym w domu z ekscytacją pewnie godną lepszej sprawy. Bardzo imponowała mi nasza pani, a jej podpis ćwiczyłam przy rozmaitych okazjach, bawiąc się „w szkołę”. Kiedyś nawet użyłam tej parafki do sfalszowania wpłaty na książeczkę Szkolnej Kasy Oszczędności, na której już miałam uzbierane kilkaset złotych. Dopisałam sobie złotówkę, nie po to, aby mieć więcej, ale by móc w odpowiedniej rubryczce podpisać się za swoją panią. Oj, awantura w domu była niezgorza, kiedy rodzice zobaczyli, czego się ich małe kandydat na oszusta finansowego dopuścił.

Byłam w pierwszej klasie, kiedy o sobie dał znać mój talent poetycki 😊. Mój wiersz o kotku Puszku, który lubi pić mleczko i łowić myszki znalazł się w miejskiej publikacji „Orlik” i tym samym zaliczyłam debiut literacki 😊 Do tej pory mam w domu tę broszurkę, mimo że tak wiele pamiątek z dzieciństwa pogubiłam po drodze.

Również w pierwszej klasie chciałam należeć do harcerstwa, a konkretnie do zucho-

wej drużyny. Wtedy mało kto nie należał do ZHP. Bardzo podobały mi się mundurki, chusty, berety, lilijki i cała ta skautowska oprawa. Moją drużynową była córka wychowawczynie - Ola Sobota. Pamiętam, jak mój tato wycinał ze styropianu totem naszej drużyny, który zresztą został uwieczniony na zdjęciu 😊. Pierwsze lata w podstawówce już mocno zatarty się w moich wspomnieniach. Pamiętam tylko kilka obrazów. Na przykład ten, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę do Wrocławia i atrakcją miał być rejs statkiem po Odrze, na co ostatecznie zareagowałam histerią, bo nie podobało mi się, że statek zamknięto w śluzie.

Pamiętam też inną wycieczkę – w góry. Teraz już nie wiem, czy na Śnieżkę czy na Szrenicę wjeżdżaliśmy wyciągiem. Był czerwiec, więc ubrani byliśmy lekko w krótkie spodenki i koszulki. Jednak wyciąg z powodu awarii stanął na jakiś czas, a na dodatek pogoda, jak to w górach, zmieniła się nagle na dość nieprzyjemną. Kiedy już udało nam się dotrzeć do schroniska, nasza pani zafundowała każdemu z nas herbatę z rumem. Na rozgrzewkę. Dziś byłoby to nie do pomyślenia, bo od razu znaleźliby się tacy, którzy rozpętaliby z tego powodu medialną burzę.

Szkoła to - rzecz jasna - nie tylko wycieczki. Czasem ciekawe było na samych lekcjach. Uwielbiałam geografię z panią Adelą Kostuś. Mimo że niesamowicie stresowało mnie szukanie na wielkiej mapie rzeki jezior, to na geografię, tak jak na polski, mogłabym chodzić co dzień, tak interesujące były to lekcje. Podziwiałam panią Adelę za niezwykłą wiedzę, opanowanie i jakieś niesamowite ciepło, którym emanowała. Dzięki pani Kostuś postanowiłam być nauczycielką. Chciałam, jak ona, uczyć geografii. W 50% moje plany się spełniły 😊

Geografii uczyliśmy się nie tylko w klasie. Obok szkolnego boiska był nawet ogródek geograficzny, gdzie stały przyrządy do pomiarów deszczu, wiatru i jakieś inne skomplikowane pomoce naukowe. Obok był też ogródek biologiczny, ale co tam rosło, dziś już nie pamiętam. Nie zapomnę jednak przyszkolnego parku (w tym miejscu dziś stoi hala Tęcza), gdzie rosły topole(?) a na pniu każdego z drzew przytwierdzone były tabliczki uczniów, którzy sadzili te drzewa. Podejrzewam, że odbywało się to wówczas, gdy wybudowano naszą tysiąclatkę, bo drzewa już miały imponującą wysokość. Za szkołą było boisko asfaltowe. Zimą, przy większych mrozach woźny, pan Słomka, polewał je wodą, a potem na wuefie zakładaliśmy wypożyczzone ze szkolnego magazynu tyżwy figurówki i uczyliśmy się pierwszych kroków na lodzie. Nasi nauczyciele wuefu, pani Teresa Abrahamowicz i pan Edward Gęsior byli bar-

dzo odważni, bo czasem zabierali nas na zamrznięte gliniarki za szpitalem (dziś Zielone Oczko) i tam śmigaliśmy lodzie. Wuefy to w ogóle osobna historia. Nigdy nie byłam orlicą z tego przedmiotu, a rzut piłeczką palantową lub piłką lekarską śniły mi się po nocach jak koszmar. I chyba tylko z dobrego serca nauczyciele wpisywali mi na koniec piątkę, by nie psuć świadectwa z wyróżnieniem 😊

Z litości chyba też dostawałam piątki z muzyki u pani Kaliciak, bo jedyne, co mi wychodziło, to gra na cymbałkach. Ale należałam do szkolnego chóru i co tydzień wraz z innymi, którzy chcieli zapracować na wyższą ocenę, wyłam, nawet w drodze do domu: „Gau-de mater Polonia, prole fecunda nobili. Summi Regis magnalia laude frequenta vigili”. Po latach myślę sobie, że właśnie z powodu mojej obecności w tym zespole chór szkolny nigdy nie osiągnął w tym czasie znaczących sukcesów na konkursach i przeglądach 😊

Po tylu latach od ukończenia szkoły dość miło wspominam niektóre lekcje z panią Anną Macugą na tak zwanym zętpete, czyli zajęcia praktyczno-techniczne. To były czasy, kiedy dzieciaki uczyły się czynności przydatnych w życiu. Robiliśmy kilimy z wełny dywanowej, na drutach skarpety, bawiliśmy się w krawcowe i przy użyciu maszyny do szycia tworzyliśmy kreacje dla lalek. Uczyliśmy się też robić kanapki i sałatki warzywne, którymi później częstowaliśmy wszystkich nauczycieli. Do tej pory zastanawiam się, jak to się stało, że nikt nigdy nie uległ zatruciu 😊

Mój pobyt w szkole podstawowej przypadł na czasy tak zwanego peerelu. Patronem naszej podstawówki był Aleksander Zawadzki – działacz komunistyczny. Nikomu to wtedy nie przeszkadzało, bo tak naprawdę żaden uczeń nie zastanawiał się, kim ten człowiek był, że zasłużył sobie na patronowanie szkołom czy ulicom. W holu szkoły stało popiersie



Zawadzkiego, ale było takim samym elementem wyposażenia wnętrza jak kwietniki czy gabloty na korytarzu. Po prostu było i tyle. Ale pamiętam, dwa momenty, kiedy legenda patrona ożyła za sprawą pewnych wizyt. Raz przyjechała wdowa po Zawadzkim i była wielka feta na sali gimnastycznej – niewiele z tego spotkania zostało mi w pamięci, może to, że wdowa była bardzo stara, ale wtedy nawet czterdziestolatkiem byli już dla mnie starcami. Bardziej przeżyłam odwiedzinę kapitała statku m/s „Zawadzki”. Kapitan to był prawdziwy gość, bo pływał po całym świecie i opowiadał o tym, że dzieci w Australii nie chodzą do szkoły, tylko uczą się z telewizorów. Och, jak im zazdrościliśmy. Wtedy jeszcze nikomu z nas nie śniło się, że po kilkunastu latach podczas pandemii nasza edukacja też tak będzie wyglądać i sta-

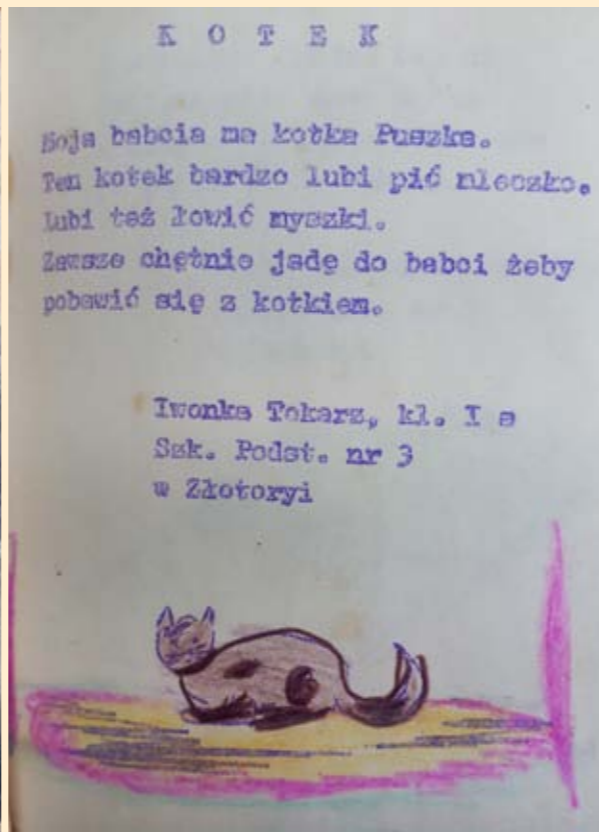
Do Trójki zaczęłam chodzić w 1977 r.

Niedługo moja tysiąclatka, czyli Szkoła Podstawowa nr 3, zwana potocznie *Trójką* będzie obchodzić 60. urodziny. W związku z obchodami jubileuszu powstaje publikacja – zbiór wspomnień absolwentów. Uznałam, że pomogę w redagowaniu książki, wrzucając swoje pięć groszy, czyli garstkę zachowanych obrazów.

Do *Trójki* zaczęłam chodzić w 1977 roku. Zanim poszłam na pierwsze lekcje, odebrałam

ze szkoły podręczniki (już nie wiem, dlaczego tą drogą, być może to szkoła zamawiała książki dla pierwszoklasistów). Kiedy tak szłam do domu z torbą, w której targałam „Litery”, sąsiad zapytał mnie: „co tak niesiesz, Iwonko?” Na co z dumą odparłam: „Literaturę”. Być może już wtedy przeczuwałam, że pójdę na polonistykę 😊.

Polski zawsze lubiłam bardziej niż inne przedmioty. Na początku pisania uczyła nas pani



nie się to dla wszystkich ogromnym utra-
pieniem.

Z ciekawych wizyt w szkole pamiętam spo-
tkania z państwem Gucwińskimi, dyrekto-
rami ZOO we Wrocławiu. Kilkakrotnie od-
wiedzali naszą szkołę, przywożąc ze sobą
egzotyczne zwierzęta. Wtedy pierwszy
raz odważyłam się pogłaskać boa dusiciele.
Wtedy też zachwycałam się wielkooki-

nam to, rzecz jasna, bardzo odpowia-
dało, bo uczniowie lubią, gdy lekcja nie
jest lekcją. Nawet jeśli zastąpić ją po-
grzeb radzieckiego satrapy.

W starszych klasach podstawówki zaczę-
łam się udzielać w samorządzie uczniow-
skim, ale co wtedy robiłam, naprawdę już
nie pamiętam, zostało z tego jedno zdjęcie
z jakiegoś zebrania. Zdecydowanie trud-
niej mi wyprzeć z pamięci moją obecność
w poczcie sztandarowej. Szczególnie wte-
dy, gdy reprezentowaliśmy szkołę podczas
pochodów pierwszomajowych, paradując
przez miasto, niezależnie od aury. A maj
bywał kapryśny, raz nawet rozpoczął się za-
wieją śnieżną. Do stadionu, gdzie kończyła
się trasa pochodu, doszliśmy zahibernowa-
ni, z sinymi ustami i skostniałymi dłońmi.
Ale mimo to rozpierała nas duma, bo bycie
w poczcie, to był zaszczyt.

Jeśli ktoś wnioskuje z tych słów, że byliśmy
przykładną młodzieżą, to jest w tak zwa-
nym „mylnym błędzie” 😊 Byliśmy też
zbuntowani, pyskaci, psociliśmy, o czym
pewnie więcej może powiedzieć męska
część klasy, a nawet na bal absolwentów
przemyciliśmy butelkę(!) wina. Myślę, że
nasi nauczyciele mieli niezły ubaw, ujawni-
ając tę jedną butelkę, którą chciało się
upić trzydziścioro nastolatków 😊

Szkołę kończyłam w 1985 roku. Byłam jed-
ną z dwóch najlepszych absolwentek tego
rocznika, ale mimo to bardzo obawiałam
się, czy zdam do wymarzonego liceum. Ku
mej radości dostałam się bez problemu, a
zawdzięczam to również moim świetnym
nauczycielom z *Trójki* 😊

Kiedy teraz piszę te wspomnienia, uświa-
damiam sobie, że wielu bohaterów tego
tekstu już nie ma wśród nas. Żyją za to w
mojej pamięci i chyba dlatego warto od
czasu do czasu nadać temu materialną for-
mę, co właśnie czynię i innych do tego za-
chęcam przed jubileuszem mojej podsta-
wówki.

Zdaję też sobie sprawę, że nie wszystko i
nie wszystkich tu wspominałam, ale żeby
to zrobić, musiałabym chyba napisać po-
wieść 😊.

Iwona Pawłowska



mi lemurami. Mało kto tak umiał mówić
o zwierzętach, jak państwo Gucwińscy, no
może tylko Michał Sumiński w telewizyj-
nym „Zwierzyńcu”.

W mojej pamięci utkwiała mi też dziwna
sytuacja – na języku polskim, a mieliśmy
lekcje polskiego z panią Teodozją Górną –
oglądaliśmy w TV pogrzeb Leonida Breźnie-
wa, I sekretarza partii Związku Radzieckie-
go. Dziś pewnie młodzi ludzie nie rozumie-
ją sytuacji, ale kto wychowywał się w cza-
sach peerelu, rozumie, jakie to wydarzenie
miało znaczenie dla krajów bloku komuni-
stycznego. Nic więc dziwnego, że nauczy-
cielka uznała za słuszne, by uczniowie sta-
li się świadkami tej zacnej ceremonii 😊. A



Manewry świąteczne

Czas przedświąteczny. Mam na to dwie naz-
wy: „maraton przebiegnięty sprintem”
lub „nie ma rzeczy niemożliwych”. Z jednej
strony życie toczy się rytmem zwyczajnym
– praca w pracy, praca w domu, praca poza
domem. Z drugiej strony zaczyna coś dziw-
nie już drgać w powietrzu, czas się kur-
czy, panika rośnie, w sklepach tłumy,
na parkingach ciasno, poczucie, że się
nie zdąży natrętnie kołacz z tyłu, boku i
przodu czaszki. Kiedy umyć okna, gdy
robi się ciemno tuż po powrocie z pracy?
Jak kupić prezenty, gdy nie ma gdzie za-
parkować w mieście? Jak ulepić uszka,
gdy się tego nie znoś? Jak mężowi
powiedzieć dyplomatycznie, żeby pozbi-
erał swoje rzeczy i poukładał na wła-
ściwych półkach i jednocześnie nie obra-
ził się na mnie? Jak przywieźć choinkę,
gdy nie mieści się do osobówki? Jak to
przeżyć i nie zwa-riować? Jak przetrwać,
nie zrażając do siebie rodziny, która
zupełnie inaczej pojmuje swoją rolę w
stadle domowym niż my? Jako kobieta –
mam nadzieję w miarę normalna – wy-
niosłam z domu, że przed świę-



tami warto umyć okna, pościierać ku-
rze, znaleźć stojak pod choinkę, usta-
wić drzewko, ubrać je w to, co zosta-
ło z roku poprzedniego, a szczęściem
nie zniknęło gdzieś w odmętach pakamery...
Niby proste, klarowne, czytelne – ale...
Zawsze jest jakieś „ale”. Na przykład to,
że kiedy już jest choinka, bo mąż znalazł
czas i pojechał po nią za pięć dwunasta,
czyli w samą wigilię, to okazuje się,
że tradycyjnie zniknął gdzieś stojak. Ten
co go rok temu kupiłam, gdy zginął tam-
ten sprzed trzech... A kiedy uda się
znaleźć czynny jeszcze sklep, gdzie
sprzedają stojaki, to wtedy okazuje się,
że lampki choinkowe, które cudem
ocalały z roku poprzedniego – nie świe-
cą. W sumie to już mogłabym się do
tego przyzwyczaić, bo zdarza się co
roku, ale jakoś dziwnie mnie irytuje. Ta
nowa świecka tradycja niełatwo
znajduje zrozumienie.

W ogóle są rzeczy i zjawiska przed
świętami mało racjonalne. Na przykła-
d to nie-szczęśne mycie okien. Niby
można to robić o każdej porze roku,
ale najmniej rozsądna wydaje się ta
czynność zimą. Do domu wpada chłód
przez otwarte na oścież okna. Płyn na
szybach marznie. Po ciemku nie wi-
dać smug, a które już nazajutrz, w
świecie dziennym ujawniają niedokład-
ność myjących... A poza tym nikt i tak
tego nie doceni w nawale przedświą-
tecznych i świątecznych atrakcji. Tak
miałam niedawno. Umęczyłam się
przy tym myciu, zmazałam, narażając
się na katar, ale dumna z siebie i
dobrze, w swoim mniemaniu, spełnio-
nego obowiązku, czekam na słowa
pochwały z ust rodziny. I co? Przycho-
dzi mąż z pracy. Nic nie zauważa.
Normalne. Więc prowokuję go do tego
zauważenia.

– Widzisz coś? – pytam.
– Co? – odpowiada, pytając, czego
nie lubię.
– No coś się zmieniło. Jak myślisz
co? – podpowiadam, sugerując dys-
kretnie, typiąc okiem na szyby.
– Aaa...u kosmetyczki byłas – od-
powiada mąż, zadowolony z siebie, że
zapewne trafił w samo jądro celu.

I tak można uznać, że jak już
myjemy te okna, to nie oszukujemy się –
robimy to tylko dla siebie, żeby nie
poczuć się gorzej niż inne panie domu.
Jednak miejmy to na uwadze, że: „nie
gorzej” nie zawsze znaczy „lepiej” a
tym bardziej – „dobrze” 😊 Co swoim
katarem potwierdzam 😊

Iwona Pawłowska



W godzinę do Wrocławia

Czy to możliwe, że wkrótce pojedziemy
ze Złotoryi do Wrocławia w mniej niż
godzinę i nie narazimy się na żaden
mandat po drodze?

Wygląda na to, że jak najbardziej. W
październiku została podpisana umowa
na remont linii kolejowej z Legnicy do
Jerzmanic-Zdroju. Po jej zakończeniu
powinniśmy dojechać do Legnicy w
mniej niż 20 minut. Dziś z Legnicy do
Wrocławia pociąg osobowy (osobowy
przyspieszony – nie zatrzymuje się na
wszystkich stacjach) najszybciej
pokonuje tę trasę w 36 minut i nie jest
to ostatnie słowo Kolei Dolnośląskich.
Dlatego istnieje realna szansa, że i
my dojedziemy do Wrocławia w
niespełna 1 godzinę.

Pociąg co kilkanaście minut

W tygodniu, w dzień powszedni z
Legnicy do Wrocławia odjeżdża
obecnie 38 pociągów. W godzinach od
6. do 8. i od 14. do 17. wystarczy
przyjść na dworzec PKP, aby najdalej
za kilkanaście minut odjechać do
Wrocławia bez sprawdzania zaw-
czasu rozkładu jazdy.

Najszybciej jadą pociągi pośpiesz-
ne – 33 minuty. Nieco wolniej – przys-
pieszone osobowe – 36 – 46 minut.
Osobowe zwykłe, zatrzymujące się na
wszystkich stacjach – 48 – 59 minut.
Aktualna cena biletu to od 16,80 zł –
za bilet na pociąg pośpieszny Inter
City, do 22,00 zł za osobowy Kolei
Dolnośląskich. Taka ciekawostka: po-
śpieszny jest tańszy od osobowego.

Ciuchcią do Wrocławia

Na portalu liegnitz.pl natrafiłem na
rozkład jazdy pociągów na linii
Wrocław – Legnica z 1844 roku, czyli
prawdopodobnie pierwszy, zaraz po
oddaniu do eksploatacji torów. Rok
później przedłużono połączenie do
Bolesławca, a w 1846 do Węglinca. W
latach następnych wybudowano tor
do Frankfurtu nad Odrą, który od 1842
roku miał już połączenie z Berlinem.
Przed woj-

ną z Wrocławia do Berlina można
było dojechać w około 6 godzin. Dzi-
siaj pociąg Kolei Dolnośląskich potrze-
buje na to 4,5 godziny.

Wróćmy jednak do relacji Legnica –
Wrocław z 1844 r. Kursowały wówczas
na tej trasie 2 pary pociągów. Zatrzy-
mywały się na następujących stac-
jach: Leśnica (Lissa), Miękinia (Nimkau),
Środa Śląska (Neumarkt), Malczyce
(Maltch).

O 7:30 z Wrocławia wyjeżdżał
pierwszy pociąg, który po 1 godzinie i
45 minutach przybywał do Legnicy.

Mniej więcej o tej samej porze, bo o
godzinie 8:00 wyruszał pociąg z Leg-
nicy. On również potrzebował 1 godzinę
i 45 minut, aby dotrzeć do celu. O 6
po południu

Zufahrt von	Wrocław	Leśnica	Miękinia	Środa	Malczyce	Liegnitz
Breslau	10:30	11:15	12:00	12:45	13:30	14:15
Wrocław	15:15	16:00	16:45	17:30	18:15	19:00
Zufahrt von	Legnica	Malczyce	Środa	Miękinia	Leśnica	Wrocław
Legnica	8:00	8:45	9:30	10:15	11:00	11:45
Legnica	15:15	16:00	16:45	17:30	18:15	19:00

z Wrocławia odjeżdżał drugi – ostatni
skład do Legnicy, natomiast o 6:30 z
Legnicy odprawiano podróżnych do
Wrocławia. Co ciekawe, popołudniowe
pociągi pokonywały tę trasę równo w
2 godziny.

Na czas przejazdu duży wpływ miały
postoje pociągów na poszczególnych
stacjach trwające od 3 do 10 minut.
Najdłuższe pociąg zatrzymywał się w
Malczycach – 10 minut, najkrócej w
Leśnicy – 3 minuty. Czas przejazdu
bez wliczonych postojów to: rano 82
minuty, a po południu 91 minut.

Trudno pojechać szybciej

Po 179 latach zarówno prędkość prze-
jazdu, jak i liczba składów znacząco się
zwiększyła. Dziś jadąc autostradą do
Wrocławia można zauważyć wielki
baner: 160 km/h bez mandatu.

Oczywiście ze Złotoryi do Legnicy
nie pojedziemy z taką prędkością. Za-
kłada się, że na tej trasie, na niektó-
rych odcinkach pociąg będzie się
poruszał 120 km/h. Konia mechanicz-
nego z rzędem, kto ten odcinek ze
Złotoryi do Legnicy przejedzie w
czasie krótszym niż 20 minut, albo do
centrum Wrocławia – krócej niż w 1
godzinę, bez łamania przepisów
drogowych.

Robert Pawłowski

PODZIEL SIĘ WSPOMNIENIAMI

Z okazji zbliżającego się 60-lecia Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi planujemy
opracowanie i wydanie publikacji: „Dzieje Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi”
Jeśli byłeś uczniem, nauczycielem, pracownikiem szkoły, rodzicem ucznia,
to gorąco zachęcamy Cię do dzielenia się swoimi wspomnieniami z nauki
i pracy w „Trójce”. Teksty mogą mieć formę: wspomnienia, wywiadu
lub pamiętnika. Mile widziane są zdjęcia, dokumenty.
- Nasi nauczyciele są gotowi udzielić pomocy.
- Mogą też sami przeprowadzić wywiady
z zainteresowanymi osobami.

Materiały można dostarczać do sekretariatu SP3
lub na e-mail: spkonto3@sp3.zlotoryja.pl





33. Bieg Niepodległości

Przez osiem ostatnich lat Święto Niepodległości kojarzyło mi się ze smutkiem, nudą, racami i zawsze czasem pluchy. W tym roku ogarnął mnie niespodziewanie radosny nastrój i postanowiłem wziąć udział w 33. Biegu Niepodległości w Warszawie. Choć biegam od kiedy pamiętam i nie chwalam się jakieg tam sukcesy osiągam, to jednak „asfaltów” nie biegałem już od trzech lat. Pociągają mnie uroki naturalnego krajobrazu. Dlatego co roku uczestniczę w biegach górskich, czy to w Karkonoszach, czy na Podhalu. Nie ma to jak wpadać na metę na ostatnim oddechu, mokry i ubłocony po pachy, nierzadko z siniakami po upadkach na śliskich gołoborzach, a na dodatek rozgrzany jak piec dymarski. Dystanse pokonuję różne od „dych” po „siedemdziesiątki”. Stąd też 10 kilometrów warszawskiej trasy nie powinno, tak sobie myślałem, sprawić mi większego kłopotu.

Do Warszawy wyjechałem już w piątek. Jechałem 5 godzin, bo cała droga była zawałona. Mijały mnie setki wozów policyjnych na sygnalach i na dodatek jeszcze kolumna rządowa. Jechali na Marsz Niepodległości, cały czas lewym pasem, więc nie mogłem nikogo wyprzedzić. Całą drogę ciągnąłem się 80 kilometrów na godzinę. Do tego tiry wracały do domu, tir za tirem. Krótko mówiąc, droga masakryczna, ale to wszystko nieważne. Powiem wam jedno. Wszystkie te niewygody przestały być ważne, jak tylko znalazłem się na linii startu w tłumie z tymi ludźmi. Obok stał drugi tłum, kibiców. Bieg rozpoczął się symbolicznie o godzinie 11.11. Zawodnicy ustawiali się w sektorach czasowych. Każdy wybierał sektor z przewidywanym swoim czasem biegu. Ale już po paru kilometrach, po sapaniu i ciężkich oddechach poznać było, że niektórzy „pomylili” sektory. Nie to tempo. Ja znalazłem się na przodzie peletonu, z przewi-

dywanym czasem 40 minut. Pakiet startowy odebrałem jeszcze w piątek. Czekał na mnie w galerii handlowej. A w galerii wszędzie choinki, wszędzie mikołaje, światełka, po prostu święta. A miałem tam nie zaglądać.

Na miejsce startu, oczywiście nie można było dojechać samochodem. Przebrałem się jeszcze w aucie i wysiadłem wcześniej, zrobię sobie rozgrzewkę, pomyślałem. Ubrałem rękawki, bo wiedziałem, że będzie zimno. Ale zrobiłem tylko trzy „setki” i już się pocę, już wszystko ściągają.

Na starcie taki był ścisk, że ludzie przechodzili przez barierki, żeby dostać się do swojego sektora. Mówię do sąsiada, że trzeba będzie brzuchy wciągnąć, a on się śmieje: „Panie! Wy w ogóle brzuchów nie macie, to co będziecie wciągać?”. Kiedy tak staliśmy obok siebie, nagle wszyscy zaczęli śpiewać hymn. Jak 15 tysięcy zawodników zaczęło hymn śpiewać, to ja po prostu wymlęknę. Coś przepięknego. Starszy człowiek obok miał łzy w oczach. Jakaś kobieta z drugiej strony też. Stoję na przodzie peletonu, a za mną jest te 15 tys. osób i wszyscy śpiewamy. Dla tej chwili, tego momentu warto było wyjść z domu. To święto było w stojących tu ludziach. Od tej chwili Święto Niepodległości kojarzyć mi się będzie z tym śpiewem. Płakałem razem ze wszystkimi. Później pod pomnikiem rozdzieliliśmy zmianę warty. Jak ci żołnierze maszerowali, jak wyglądali. Czuję w sobie dumę. Przeżywanie takich momentów naprawdę dużo daje. Zauważyłem też, że każdy był poruszony.

Wszyscy zawodnicy dostali koszulki z orzełkiem. Jedni czerwone, drudzy białe, bo mieliśmy utworzyć naszą flagę. Czekamy na start, jest 11.05, a ja widzę, jak mój znajomy do mnie macha i coś krzyczy. Nie wie-

działem, o co chodzi, dopóki nie zobaczyłem, że obok mnie wszyscy mają białe barwy, a ja jestem w czerwonej koszulce. W ogóle wszyscy byli poprzebierani, każdy miał jakiś akcent narodowy. Kobiety ubrały wianuski z biało-czerwonych kwiatów, wiele osób biegło z flagami, ja miałem opaskę na ramieniu.

Biegliśmy aleją Jana Pawła II, 5 km w jedną stronę, na rondzie zawracaliśmy i tą samą drogą z powrotem. Piękna trasa i bardzo szybka. My biegliśmy z przodu i widzieliśmy tył biegu po drugiej stronie alei. Asystowało nam bardzo dużo policji. Jechali kolumną wozów i motocykli, z sygnałami dźwiękowymi i światłami. To było niesamowite wrażenie. Wzdłuż trasy ustawiono się pełno warszawiaków, kibicowali nam ogromnie, z flagami, bębniami, co jakiś czas śpiewały chóry, przeżycie było cudowne. Mijaliśmy też grupkę dzieci z nauczycielką, takich „krasnali” z flagami, poubieranych na niebiesko. To chyba jakieś przedszkole było. Pani pilnowała dzieci, a one wszystkie prosiły, żeby „wolniej”. Krzyczały do nas „Wolniej, prosimy, wolniej...” i chciały, żeby im łapki przybić. Kto był najbliżej to rzeczywiście zwalniał i im „przybijał”. Ja bym musiał zabiec drogę innym, żeby się do nich zbliżyć. To było ryzykowne, więc tylko się do nich uśmiechałem. W pewnym momencie podniosłem wzrok i zobaczyłem najwyższy budynek w mieście, cały z niebieskiego szkła. Otoczenie nowoczesnego miasta budziło dodatkowe emocje. Jednak trzy tygodnie treningu do „dychy” to trochę mało. Ten bieg od początku do końca był „wyżyłowany”. Pobiegłem w „trupa” i to bez żelów. Pod koniec miałem moment kryzysu, taki że ten bieg zaczął mi się dłużyć bardziej niż „siedemdziesiątki”. Myślałem tylko: gdzie ta meta? Gdzie ta meta? W końcu zobaczyłem to „białe nadmuchane” i już cisnę i lecę. Ale tak naprawdę to na „oparach” leciałem, autentycznie na „oparach”, a jeszcze znajomi mnie filmowali. Nie byłem przygotowany na taki bieg, ale chciałem „poczłapać” mocniej. No i ze swojego czasu jestem bardzo zadowolony, a także z miejsca w swojej kategorii. Mega! Piękne święto, piękne wrażenia.

Jak wracałem w niedzielę, to miałem takie „szczęście”, że wracały też te policyjne auta na sygnalach. No, nie!

Do tej pory zawsze siedziałem na swojej kanapie i tylko w telewizji oglądałem obchody Święta Niepodległości. Nie! To już skończone. Tam, w Warszawie obiecałem sobie, że teraz już zawsze będę świętował. Nie wiem, czy będę jeździć do Warszawy, czy do Legnicy, a może do Wrocławia? Bo w Żłotorzy nie ma niestety, takich obchodów, żeby ludzie zechcieli wyjść z flagami i wspólnie się bawić. Dla mnie Święto Niepodległości nabrało innego wymiaru po tych ośmiu latach.

Na podstawie autentycznych wspomnień zawodnika: Jarosław Jańta



Świątek odkryty na nowo

Twardocice są częścią Geoparku Krainy Wygasłych Wulkanów. Stąd jest się dojście do geostanowiska dokumentacyjnego, ustanowionego przez Radę Gminy Pielgrzymka na wniosek Państwowego Instytutu Geologicznego. Świątek, bo o nim mowa, to geopunkt wskazany w inwentaryzacji geopunktów na obszarze Partnerstwa Kaczawskiego. Świątek (330 m) jest izolowanym wzniesieniem twarzielcowym - przykładem neku, zbudowanym z bazaltowej lawy wypełniającej dawny komin wulkaniczny. Jak wskazuje się w dokumentacji: „Możliwości wykorzystania obiektu do celów edukacyjnych są ograniczone ze względu na dostępność obiektu (brak wyraźnego dojścia), a także większą reprezentatywność i atrakcyjność innych stanowisk w



regionie z odsoniętym ciosem kolumnowym. Duże walory w aspekcie interpretacji krajobrazu ma natomiast punkt widokowy przy drodze u podnóża wzniesienia”. Ścieżka na górę biegnie przez las, wejście na szczyt było zarośnięte i słabo oznakowane, a powalone drzewa zagrażały bezpieczeństwu odwiedzających to miejsce. Zdobycie szczytu w okresie letnim było niemożliwe, samosiewy zagarnęły większość terenu. Mieszkańcy, w tym drużyna OSP, wyszli z inicjatywą uporządkowania i odkrzaczenia terenu oraz wyznaczenia ścieżki prowadzącej do geopunktu, podejmując przy tym działania na rzecz udostępnienia i wyeksponowania walorów Krainy Wygasłych Wulkanów. Mieszkańcy pozyskali środki na realizację w/w zadania (5000 zł z Gminy Pielgrzymka w ramach Inicjatywy Lokalnej i 5290 zł w ramach Konkursu „Działaj Lokalnie 2023”). Teren częściowo został uporządkowany, mieszkańcy planują jeszcze wyprofilować dwa strome podejścia, wkopać belki, które będą stanowiły naturalne schody, zamontować balustrady oraz postawić dwie ławki przy tablicy informującej o geostanowisku.

W ramach projektu „Odkrywamy Świątek na nowo” 18 listopada odbył się I Rajd pod Świątkiem. Część

przyrodniczo - historyczną rajdu poprowadził Pan Wojciech Grzywa z Nadleśnictwa Lwówek Śląski, a część geologiczną dr Aleksander Kowalski z Państwowego Instytutu Geologicznego. Trasa prowadziła przez tereny leśne, przez dwa stanowiska dokumentacyjne - bazalty na Świątku i Ka-

mieniołom Piekietko oraz część Szlaku Kamiennych Krzyży w Choińcu (dwa kamienne krzyże i kamień z inskrypcją). Oprócz licznej grupy mieszkańców udział w rajdzie wzięła również Nadleśniczka Alina Sudół - Kornalewicz. Przeszliśmy ponad 7 km! Na zakończenie rajdu na uczestników czekał ciepły poczęstunek - kociołek, grochówka i kiełbaski przygotowane przez organizatorki. Szykuje się kolejna edycja Rajdu. Zapraszamy!

Natalia Gębała



Ewa Pawlaczek przed swoim domem, w którym gościł noblista.

Wydarzenie literackie w Prusicach

– To było wyjątkowe wydarzenie w naszej wsi. Bardzo podniosłe, z kategorii wysokiej kultury. Byłam bardzo mile zaskoczona, że na naszą prostą, wiejską imprezę przyszło sporo członków TMZZ, dla których mam ogromny szacunek. Również zaszczytli nas obecnością starosta Wiesław Świerczyński, wójt Jan Tymczyszyn, była wójt Maria Leśna. To byli ważni goście, którzy podnieśli rangę spotkania – mówi przewodnicząca Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice, Joanna Piechowicz.

Wspomniane stowarzyszenie – przy udziale Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej – kolejny już raz zorganizowało wydarzenie dla mieszkańców wsi. Tym razem była to prelekcja wraz z towarzyszącym jej odsłonięciem tablicy pamiątkowej dotyczącej pisarza noblisty Gerharta Hauptmanna 28 października 2023 roku.

– W czerwcu 2023 roku zwrócił się do mnie Alfred Michler z propozycją wygłoszenia prelekcji o Gerharcie Hauptmannie na dzisiejszej uroczystości – mówi Małgorzata Noga, nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej w Rokitnicy. – Moja prezentacja podkreśla, że to był pisarz świata, bowiem swoim największym dramatem „Tkacze” zjednał sobie Lenina. Kiedy sowieccy żołnierze w 1945 roku wkroczyli do Jagniątkowa, bardzo łagodnie potraktowali pisarza, bądź co bądź – Niemca. Hauptmann jednoczył Niemców, Polaków i obywateli ZSRR. Pisarz nie wchodził w świat polityki, tylko był zakorzeniony w

swojej literaturze i pisał o tym, co go najbardziej ciekawiło. Uwielbiał naturę, był bardzo wrażliwym człowiekiem.

– Prelegentka Małgorzata Noga miała świetną prezentację na temat pisarza i jego twórczości. Momentami była nawet wzruszająca. Wykład zawierał fakty z życia noblisty do tej pory mi nieznaną, a przecież jestem germanistką i znam twórczość tego pisarza – dzieli się swoimi spostrzeżeniami członkini TMZZ, Wioleta Michalczyk.

Gdy po prelekcji zebrani na sali zaczęli zabierać głos, nie zabrakło wzruszeń i też, co nie dziwi. Wszak ogromna, niezmierną tęsknota za bezpowrotnie utraconą ojczyzną i własnym domem zawsze będzie wywoływać wzruszenie. To tęsknota właśnie doprowadziła do tego, że dawni mieszkańcy postanowili spisać swoje wspomnienia w formie książkowej i wydać je własnym nakładem wraz z zachowanymi zdjęciami. I wtedy nastąpiło odkrycie.

– To ja znalazłam w trzecim tomie „Kronik prusickich” (wszystkich jest cztery tomy) wzmiankę o tym, że w naszej wsi przebywał noblista Gerhart Hauptmann. Uznałam, że

jest to świetna okazja do rozwinięcia tematu i zainteresowałam tym zarząd naszego stowarzyszenia – opowiada Dorota Bocheńska, sekretarz Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice. – Przecież to niezwykle, że taka sława odwiedzała wielokrotnie naszą wieś w latach dwudziestych i trzydziestych! Pisarz przyjeżdżał swoim autodem, parkował przy Stawie Kowali, skąd miał już kilka kroków do swojej siostrzenicy, która mieszkała w budynku nr 60 (obecnie numer 95). „Kroniki prusickie” twierdzą, że przyjeżdżał głównie wiosną, ponieważ uwielbiał kwitnące sady, których w Prusicach było mnóstwo.

Szczególną gością na uroczystościach była Ewa Pawlaczek, która od 1946 roku, czyli od czwartego roku życia mieszkała najpierw obok, a od 1971 w tym samym w domu, w którym bywał noblista. Pani Ewa dzieliła się z zebranymi na sali wspomnieniami o rozmowach z potomkami pisarza, którzy kilkakrotnie przyjeżdżali w odwiedziny i opowiadali ciekawostki z jego życia. Mówi Wioleta Michalczyk:

– Wśród słuchaczy zapanowała bardzo sympatyczna atmosfera, gdy po prelekcji głos zabierały osoby, które przyczyniły się do zorganizowania wydarzenia. Ważny dla mnie był głos Alfreda Michlera, który opowiedział o związkach TMZZ-u z byłymi i obecnymi mieszkańcami Prusic. Przez



Małgorzata Noga wygłasza prelekcję



Podczas prelekcji w świetlicy wiejskiej w Prusicach



Tablicę odsłaniają od lewej: Alfred Michler, Jan Tymczyszyn, Joanna Piechowicz, Bogusław Cetera



W sadzie, który pamięta Gerharta Hauptmanna

jedną z osób został nazwany *przyjacielem Prusic*.

Po prelekcji i obfitym poczęstunku uczestnicy udali się do oddalonej o kilkaset metrów tablicy, którą odsłoniли wspólnie: przewodnicząca Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice – Joanna Piechowicz, wójt Gminy Złotoryja – Jan Tymczyszyn oraz przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej Alfred Michler i Bogusław Cetera. I tak oto przed domem nr 95 w Prusicach znalazła się tablica w języku polskim i niemieckim o treści:

W tym domu mieszkał i tworzył wiosną w latach 20. i 30. XX wieku Gerhart Hauptmann (1862-1946). W 1912 roku otrzymał on nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

In diesem Haus wohnte und schaffte im Frühjahr der 20. und 30. Jahren des 20. Jh. Gerhart Hauptmann (1862-1946) Im Jahre 1912 erhielt er den Nobelpreis für Literatur.

Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Prusice, 2023

– Najważniejsze to pokazać się na wsi, że istniejemy i działamy – twierdzi Joanna Piechowicz. – Gdy po prelekcji szliśmy przez wieś, tworzyliśmy barwną grupę, taki korowód, którego normalnie się nie widuje. Zauważyłam, jak mieszkańcy spoglądali na nas ciekawie z okien swoich domów.

Po odsłonięciu tablicy były kwiaty i podziękowania, a pani Ewa oprowadzała chętnych po swojej posesji. Była okazja, aby

obejrzeć dom, w którym gościł pisarz noblista, wszyscy z ciekawością rozglądali się po tym samym sadzie, który rósł również sto lat temu, nawet grusza przy domu, której złociste gruszki tak uwielbiał Gerhart Hauptmann, nadal rośnie i owocuje.

Pamiątkową tablicę ufundowała Gmina Wiejska Złotoryja, a konstrukcję i osadzenie wykonali nieodpłatnie panowie Janek i Jacek (nazwisk nie chcą ujawniać). Finansowo imprezę wspomogło również Starostwo Powiatowe Złotoryja, a poczęstunek w postaci pysznego ciasta w ogromnych ilościach w całości przygotowały członkinie stowarzyszenia. Stowarzyszenie jest bardzo wdzięczne autorce świetnych zdjęć Sylwii Dudek-Kokot. Zdjęcia niebawem znajdą się w kronice.

Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Prusice ma w planach wycieczkę do Jagniątkowa lub zaproszenie przewodnika turystycznego związanego z Jagniątkowem do Prusic, a może wycieczkę po wsi z oprowadzaniem. Na pewno będzie co pokazywać.

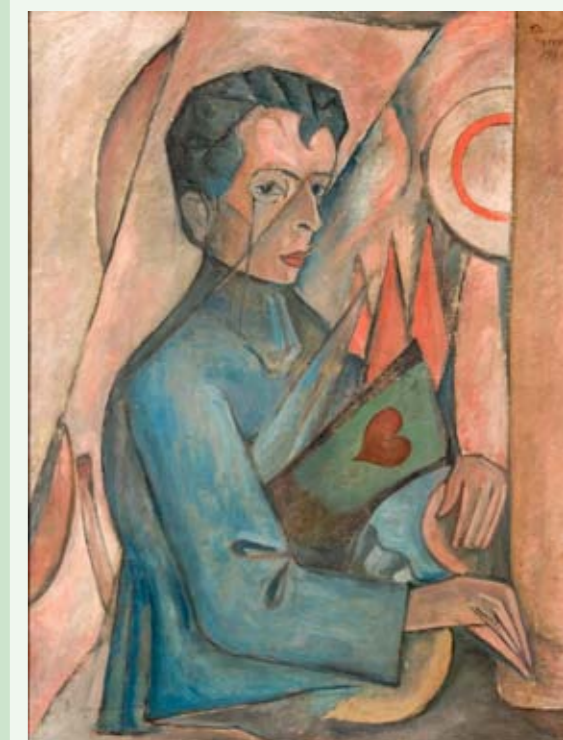
Mimo, że wydarzenie literackie należy zaliczyć do udanych, to nie zabrakło też gorzkiej pigułki. Nie dopisali frekwencyjnie mieszkańcy Prusic, do których wszak wszystko to było adresowane. Potwierdza to wypowiedź Wiolety Michalczyk:

– Zabrakło mi obecności większej ilości mieszkańców wsi, było ich za mało, bowiem oprócz czterech osób ze strony organizatora na wydarzenie przyszło tylko czworo mieszkańców Prusic.

Można mieć tylko nadzieję, że z biegiem lat prusicy przyzwyczają się do prężnej działalności osób ze stowarzyszenia i zaczną uczestniczyć w imprezach w większej liczbie, czego „Echo Złotoryi” wraz z piszącą te słowa serdecznie życzą zarządowi oraz wszystkim członkiniom i członkom Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Prusice.

👉 Agnieszka Młyńczak

👉 Sylwia Dudek-Kokot



O bucie w butonierce

Futuryzm. Po łacinie - „przyszły”. Z perspektywy czasu - zapomniany. W XX wieku jednak zbyt szokujący. Czym naprawdę był ten kierunek w sztuce? Awangardą, która odrzucała wszystko, co, według futurystów, było przestarzałe, łącznie z normami językowymi. Robił to między innymi bohater niniejszego portretu.

Bruno Jasioński, bo o nim mowa, był poetą nad wyraz kontrowersyjnym, jednocześnie pisarzem przekonanych o swej nieomyślności od lat najmłodszych. Zadebiutował w 1921 roku tomem poezji „But w butonierce” Sam tytuł tegoż tomu doskonale oddaje elementy charakterystyczne nie tylko dla Jasiońskiego, ale również dla reszty futurystów - brak logiki i prowokacja. W latach dwudziestych XX wieku z pewnością była to niemała sensacja oraz szok dla czytelników, większy niż dzisiaj, a i dzisiaj nie pozostaje on przecież mały. Jeśli jednak spojrzymy na Jasiońskiego jak na osobę, która miała burzyć stary porządek i z natury być antytradycjonalistą, to w jednej kwestii pozostał on tradycyjny, być może w kluczowej. Naczelny polski futurysta nie silił się na stworzenie nowego systemu wersyfikacyjnego, ani też nie burzył obecnego. Co zaskakujące - używa go z ogromną konsekwencją. Upodobał sobie szczególnie nieregularny wiersz sylabiczny i sylabotoniczny, z których korzysta w większości tekstów, zmieniając jedynie liczbę zgłosek i stopy akcentowe. Odchodząc jednak od kwestii, w jaki sposób budował swo-

je dzieła, nie sposób nie wspomnieć o języku, który stosował. A był on wręcz prowokacyjny do granic możliwości. Liczne kolokwializmy, mieszanie języka ojczystego z językiem francuskim oraz angielskim, mogły się wielu nie podobać. Jednak prawdziwym „nożem w bzu” dla czytelników były liczne wulgaryzmy oraz inwektywy. Futuryście zdarzało się z nich korzystać w rozmaitych kontekstach: czasem ironicznie, czasem dla oddania nastroju miejsca czy klimatu właściwego dla określonej społeczności. Nie jest natomiast tak, że stały się one głównym składnikiem poezji Jasieńskiego. Po swoim debiucie wydał jeszcze jeden tomik poezji oraz kilka powieści. Jedną z nich - „Palę Paryż” - była tak nieodpowiednia dla francuskich władz, że postanowiono wydrzeć poetę z kraju nad Sekwaną. Bruno jednak wraz z



wiekami coraz bardziej odchodził od pisania, oddając się kwestiom światopoglądowym. Oczywiście, robił to zawsze, jednak później stało się to jego głównym celem, a było nim oczywiście szerzenie komunizmu. Wyjechał do ZSRR, gdzie miał go spotkać raj na ziemi. Spotkał, ale tylko na chwilę. Został skazany na karę śmierci przez radziecki sąd i marnie skończył w Kommunarce, gdzie przeżył ostatnie chwile swego życia.

Na samym wstępie tego tekstu popełniłem zdanie, że Bruno jest poetą zapomnianym. Nadal to podtrzymuję, jednak nie można pominąć tego, że wciąż funkcjonuje w świadomości społecznej i można gdzieś się na jego dzieła natknąć. Funkcjonuje on oczywiście w szkołach, możemy się spotkać z nim w piosenkach. Choćby Jacek Kaczmarski nagrał epitafium ku jego pamięci. Krzysztof Grabowski napisał piosenkę „Marchef w butonierce” mocno wzorowaną na twórczości poety i jego stosunku do świata i kraju. Myślę jednak, że ten rozgłos jest mizerny, zważywszy na skalę talentu oraz możliwości pisarza. Miał wywrócić porządek panujący w literaturze. Jak sam pisał - umrzeć mieli Tetmajer i Staff, jednak historia chyba to zweryfikowała.

 **Jakub Rębisz LO Złotoryja**



Co mówią ściany? cz. 2.

Tu wchodzimy na teren naszej Rokitnicy. Na przygotowanym przez Tomasza Stolarczyka w czasach, kiedy nie było jeszcze lidarów skanujących teren, planie warstwowym, ukazującym struktury znajdujące się na miejscu zamku w Rokitnicy, doskonale widać, że mamy tu centralny prostokąt, który posiadał wewnątrz mur obronny i dwa obiekty. Jeden to kaplica, z której mamy zachowaną ścianę, a obok musiał znajdować się pałac. I tak jak w Akwizgranu do Legnicy mija 400 lat i cały ten czas budowano według jednego wzorca. Po co powstawały te empory? Otóż władca nie musiał razem ze wszystkimi wchodzić do kaplicy, tylko ze swoich pokoi jakimś korytarzem wchodził sobie na ten swój balkon, nie „nękany” przez nikogo. Ten balkon jest wysunięty, a więc przy takiej szerokości, jaka tu jest, musiał opierać się na co najmniej jednej podporze. Filarze kamiennym albo drewnianym słupie. W Rokitnicy stoi takie coś. Wygląda to raczej nieciekawie, jak taki zlepek, jakby coś rozsypało się i ktoś próbował parę tych kamieni posklejać. Doktorowi nie wydaje się, że ten ktoś mógłby skleić ten słupek przypadkowo, raczej mamy dowód na to, że taki słupek istniał kiedyś w tym miejscu. Za nim pojawiają się wnęki z gzymsem, na którym można było umieścić ławkę i na niej usiąść. Te wnęki to nie jest jakieś ścienienie ściany, to wszystko w średniowieczu miało jakąś funkcję. Świadomość, jaka to była funkcja, pozwala lepiej takie obiekty czytać i lepiej przeprowadzać na nich wszelkiego rodzaju działania.

Kiedy pojawił się lidar, połączenie lasera z teleskopem, czyli możliwość skanowania przestrzeni, otrzymaliśmy możliwość komputerowej obróbki zdjęć. Widać na nich pozostałości budowli, pierwszą suchą fosę, wał, który być może zwieńczony był murem, kolejną fosę i za tym jeszcze wał. Naprawdę bardzo trudno było pokonać całą tę drogę, żeby do zamku się dostać. I tu pierwsza rzecz. Zamki to nie tylko mury i elementy architektury, ale to także całe otoczenie, cała reszta: wały, fosy, groble

prowadzące do bramy. A więc skoro staraliśmy się chronić te zabytki, nie powinniśmy się skupiać tylko i wyłącznie na elementach architektonicznych, ale chronić całą przestrzeń dookoła. W Rokitnicy jest to bardzo widoczne. Wcześniejsze badania archeologiczne profesora Ernesta Niemczyka wykazały, że pałac był otoczony murem, a kolejne badania Tomasza Stolarczyka i Mariusza Łesiuka pokazały, że na wale też istniał mur, z którego zachowała się tylko szczątkowa partia fundamentowa. Trzeba sobie zdawać sprawę, że tych linii murów, niekoniecznie tylko wałów, było tam więcej.

Na XIX-wiecznej litografii, oprócz fragmentu ściany zachowanego do dziś, widać część bocznej ściany z zachowanym okienkiem. Mamy także zdjęcie z początków XX wieku, gdzie nie ma całego okienka, ale z boku fragment tego okienka jeszcze jest widoczny. Przy współczesnych technikach skanowania jesteśmy w stanie każdy z tych kamieni „wyodrębnić” z dzisiejszej przestrzeni. Możemy z dokładnością do jednego centymetra pokazać, gdzie to okienko się znajdowało, tylko trzeba korzystać z ikonografii. Wszelkiego rodzaju prace, tak projektowe, jak i wykonawcze, powinny być poprzedzone jak najszerzym rozpoznaniem źródeł. Kwerendą ikonograficzną (poszukiwaniem zdjęć, rysunków, planów). Ciekawe jest także inne spojrzenie na ten

zamek. Na ścianie bocznej mamy ułożone kamienie w łuku, to tak zwany łęk, który pokazuje, że od wewnątrz była tam większa wnęka, w której znajdowało się okno. Znów, dzięki temu, że mamy zdjęcia, możemy dokładnie zlokalizować to okno. Ważne to jest w przypadku prac renowacyjnych, w których możemy wykorzystać tę informację. Gdybyśmy tego nie zrobili, owszem osiągnęlibyśmy cel wzmocnienia konstrukcji, ale zgubilibyśmy ważną informację. Zbudujemy coś, czego tam nie było, albo inaczej, zgubimy coś, co się w tym miejscu znajdowało. Po drugiej stronie tej ściany też wiemy, gdzie było okienko, bo mamy bloki kamienne, ciosy, które po obu stronach to okno kształtowały. Po zeskanowaniu zdjęcia można zobaczyć, czy te okna leżały dokładnie naprzeciwko siebie. Dla doświadczonych archeologów to praca dosłownie na dwie, trzy godziny.

Dwa otwory widoczne na zachowanej ścianie, to pozostałości po gniazdach takich belek po balkonie. A ten balkonik to nic innego, jak tak zwana empora. I tu porównanie naszej ściany datowanej na XIV wiek z kaplicą zamku królewskiego w Czechach, gdzie taki balkon jest widoczny. Można je porównać, ponieważ idea, porządek w średniowieczu jest wszędzie taki sam. Od Akwizgranu do Legnicy mija 400 lat i cały ten czas budowano według jednego wzorca. Po co powstawały te empory? Otóż władca nie musiał razem ze wszystkimi wchodzić do kaplicy, tylko ze swoich pokoi jakimś korytarzem wchodził sobie na ten swój balkon, nie „nękany” przez nikogo. Ten balkon jest wysunięty, a więc przy takiej szerokości, jaka tu jest, musiał opierać się na co najmniej jednej podporze. Filarze kamiennym albo drewnianym słupie. W Rokitnicy stoi takie coś. Wygląda to raczej nieciekawie, jak taki zlepek, jakby coś rozsypało się i ktoś próbował parę tych kamieni posklejać. Doktorowi nie wydaje się, że ten ktoś mógłby skleić ten słupek przypadkowo, raczej mamy dowód na to, że taki słupek istniał kiedyś w tym miejscu. Za nim pojawiają się wnęki z gzymsem, na którym można było umieścić ławkę i na niej usiąść. Te wnęki to nie jest jakieś ścienienie ściany, to wszystko w średniowieczu miało jakąś funkcję. Świadomość, jaka to była funkcja, pozwala lepiej takie obiekty czytać i lepiej przeprowadzać na nich wszelkiego rodzaju działania.

W latach sześćdziesiątych w gruzie znaleziono pewne kamienne elementy, które rozpoznano jako fragment żebra sklepiennego. Jeżeli jest żebro sklepienne, to znak, że były tu sklepienia z żebrami. Trudno powiedzieć, czy w Rokitnicy sklepiena była i nawa, i prezbiterium, czy tylko prezbite-

rium, a nad nawą był strop drewniany. Za mało mamy badań, by na to odpowiedzieć. Kiedy przyjrzymy się temu, co pokazywał prof. Niemczyk w swojej inwentaryzacji, to mamy tu obwód zamkowy datowany na XIII wiek i mamy zbudowaną na częściowo rozebranym murze kaplicę. To się nazywa stratygrafa. Jeżeli coś jest zbudowane na rozebranej warstwie starszej, to musi być młodsze, jak nasza kaplica. Podczas tych badań znaleziono także ściany budynku obok kaplicy i znaleziono nawet próg wejścia. Dokładnie wiemy, gdzie ono było. Znaleziono też fragment ołtarza, który przyklejony był do ściany, co także charakterystyczne było dla prywatnych kaplic możnowładców. W normalnym kościele ołtarze są odsunięte od ściany, żeby wierni mogli je obejść, no ale władca nie będzie obchodzić ołtarza, żeby wrzucić coś kapelanowi w ofierze, bo przecież to on tego kapelana zatrudnia.

Jedną z najciekawszych rzeczy, jaka zdarzyła się w trakcie poszukiwań południowej ściany, było odnalezienie bazy portalu. Wejścia do kaplicy. Żebyśmy mogli sobie to wyobrazić, dr Nocuń pokazuje nam zdjęcie wejścia do kościoła św. Mikołaja w Złotoryi. To jest portal dokładnie o takim samym przekroju. Na tej podstawie historyk architektury z dokładnością do 90% wyrysuje nam, jak taki portal wyglądał. To wszystko jest w ziemi. Przysypane trzydziestocentymetrową warstwą ziemi i czeka. Te wszystkie drobiazgi można złożyć jak puzzle, żeby pokazać, jak ten zamek kiedyś wyglądał i jak ważny to był obiekt.

Kolejną sprawą jest to, że całość zbudowana z kamienia łamanego z zastosowaniem warstw wyrównawczych, jak we Włeniu. Gdy spojrzymy na średniowieczną ścianę, zobaczymy charakterystyczne warstwy. To się wiąże z tzw. „łokciem budowlanym”, czyli sposobem zapłaty za budowę, a płacono za każdą taką warstwę osobno. Stawiało się dwa lica, a do środka wrzucano gruz i gotowe, zapłaćcie i robimy następną warstwę. Natomiast na narożnikach, żeby to wszystko się solidnie trzymało, ustawiano potężne ciosy kamienne. W przypadku ewentualnej rekonstrukcji, trzeba to budować na przemienne. Ten kamień idzie w tę stronę, ten kamień w tamtą stronę. Wzorzec jest. Dalej, tam gdzie zaczyna się ten trójkąt górny i ściana szczytowa, mamy gzyms. Gdy kamieniarze robili gzymsy, to już nikt nie wymyślał, że tu zróbcie nam taki profilek a tam taki. Wystarczy zdjąć miarę z tego, co jest, zamówić odpowiednią ilość i już mamy pewność, że odbudujemy w miarę wiernie, tak jak to wyglądało za czasów funkcjonowania kaplicy.

Szczyt ściany nie jest zachowany w całości,

ale jedna strona daje możliwość na bardzo ciekawe spostrzeżenia. Widać tam bardzo regularne schodki z ciosów. To są oryginalnie ustawione kamienie i to jest jedyny zachowany taki szczyt na Śląsku. Nigdzie nie ma zamkowych nieprzekształconych szczytów tego typu z XIV wieku. Me-gacenne! Ten ostatni kamień na górze powinien być wyprostowany. Oprócz tego widać też łoża na krokiew, która budowała konkretną konstrukcję. „Ja nie odkrywam tu Ameryki – mówi dr Nocuń – chcę tylko zebrać wszystkie te informacje razem i pokazać, jak dużo można odczytać z tej jednej ściany.” Najcenniejszą rzeczą dla naszego prelegenta jest „ten kamień”. Ten, który doktor pokazuje na slajdzie. Jest charakterystyczny i wystaje poza ścianę. Z drugiej strony symetrycznie odtrącony. To jest konsola pod rynną drewnianą. Instalowana była poniżej krawędzi dachu, żeby zbierała wodę. Fenomenalna rzecz! Takie szczegóły z reguły były odtrącane, odpadały. Nie znamy ich. Wiemy jak wyglądały, mamy rysunki, ale na zamku w Rokitnicy jedna jest zachowana w całości. Super sprawa! W materiale z lat 60. udało się znaleźć także głowicę kolumnienki. Nie jest duża, ma około 28 cm długości. To są rozmiary, które można zastosować tylko do jednego elementu. Do okna, które miało charakter tzw. „biforu”. Takich okien też nie ma za wiele. Są w kościołach, ale w zamkach nie. Podobny jest na zamku w Lublinie, ale ten z Rokitnicy artystycznie wykonany jest dwa poziomy lepiej. Teraz wiemy, że tak wyglądało gdzieś tu jakieś okno. Nie wiemy, czy w pałacu, czy w kaplicy.

Krótko mówiąc, w Rokitnicy mamy fenomenalny obiekt, jeden z najważniejszych zamków, nawet jeżeli jest to tylko ściana.

Kończąc swoją prelekcję, doktor Przemysław Nocuń dodaje, że w opiece nad zabytkami nie jest ważne to, że raz na 10, czy 20 lat zrobimy drogi generalny remont i zabytek postoi kolejne lata. W opiece nad zabytkami ważna jest właśnie stała opieka, monitoring. We Włoszech raz na tydzień czy dwa tygodnie strażnik obchodzi zabytek i na bieżąco obserwuje jego zmiany, naprawia je w sposób jak najmniej ingerujący w oryginalną substancję.

Dr Nocuń bardzo ubolewa, że wiedza archeologiczna zamyka się często w trudno dostępnym publikacjach i nie dociera do ludzi. „A przecież nasza praca – mówi – nie polega na tym, że będziemy zamykać siebie w jeszcze mniejszych salach niż ta (pokój nr 11 w UM w Złotoryi) i przekazywać sobie prawie że, tajemne informacje. Powinniśmy te dane jak najszerzej udostępnić.

 **Spisał i udostępnił Jarosław Jařta**

Kronika

26.10 Pod Ostrzycą odbyły się ćwiczenia powiatowe w celu sprawdzenia powiatowego planu ratowniczego w ramach współpracy jednostek ochrony przeciwpożarowej z innymi służbami i podmiotami.

27.10 W Wiejskim Domu Kultury w Pielgrzymce odbył się Gminny Festiwal Młodych Talentów.

30.10 W złotoryjskim ratuszu odbyło się spotkanie Złotoryjskiego Doradztwa Młodzieżowego, zespołu doradczego burmistrza Złotoryi.

31.10 Kino „Aurum” zorganizowało „Halloween maraton”

3.11 W Przedszkolu Miejskim nr 2 odbył się bal postaci z bajek.

4.11 W Sudeckiej Zagrodzie Edukacyjnej w Dobkowie Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Kaczawskie świętowało 15 lat działalności przy okazji drugiej edycji „Kaczawskiego Festiwalu Podróżniczego”.

7.11 13-letni Maciej Bieniek uczeń klasy siódmej Szkoły Podstawowej nr 1 w Złotoryi, dzięki wygranej licytacji finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, zastąpił na jeden dzień burmistrza Złotoryi.

9.11 W Złotoryi odbyły się obchody Światowego Dnia Cukrzycy.

9.11 W Wiejskim Domu Kultury w Pielgrzymce odbyła się projekcja filmu „Zatrzymane chwile” o pierwszych osadnikach Gminy Pielgrzymka.

11.11 W Złotoryi odbyły się obchody Narodowego Święta Niepodległości.

11.11 W Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbył się koncert Karkonoskiej Filharmonii Kameralnej „Chopin przez Dolny Śląsk”.

11.11 Z okazji Narodowego Święta Niepodległości w Pielgrzymce odbył się piknik patriotyczny.

11.11 Z okazji Narodowego Święta Niepodległości przez wszystkie miejscowości Gminy Zagrodno przejechała kolumna wozów Ochotniczych Straży Pożarnych.

11 - 12.11 W hali sportowej „Tęcza” odbyły się XX Mistrzostwa Niepodległej Polski w wyciskaniu sztangi leżąc i w martwym ciągu.

14.11 W Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Wojcieszowie odbył się XIX Przegląd Piosenki Turystycznej i Skeczy „Serce w plecaku”.

18.11 Podczas Ogólnopolskich Obchodów Światowego Dnia Cukrzycy, tytuł Dobroczyncy Roku oraz nagrodę Krysztalowego Kolibra otrzymała Przychodnia Rejonowa w Złotoryi.

18.11 W hali sportowej „Tęcza” odbyły się Mistrzostwa Złotoryi w Tenisie Stołowym.

18.11 W Zamku Grodziec odbyło się spotkanie z dziennikarką i pisarką Joanną Lamparską „Dolnośląskie tajemnice z Groźcem w tle”.

19.11 W Warszawie podczas 10. Krajowego Walnego Zebrania Delegatów PSD, dotychczasowa prezeska PSD Koła w Złotoryi Monika Kaczmarek została wybrana na prezeskę Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

22.11 W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wieczorek literacki w wykonaniu uczniów klasy 7C SP nr 3, pod kierunkiem B. Bachór pod hasłem „Pogoda ducha i mądrości” – rzecz o Wisławie Szymborskiej.

23.11 W ramach Światowego Dnia Życzliwości odbyła się akcja sadzenia krokusów przy murach obronnych na alei Miłej.

24.11 W Wiejskim Domu Kultury w Pielgrzymce zorganizowano zabawę andrzejkową.

25.11 Na Placu Uciecha w Złotoryi odbył się finał projektu „Łącząc nas Kaczawa” – Galeria Naturalnych Pigmentów Barwy Kaczawskie.

Opracował: Jarosław Jańta



Jak uratować zamek?

Zamek na wzgórzu w Rokitnicy zaczęto wznosić w XIII wieku. W latach późniejszych do budowli dobudowano kaplicę zamkową. Zamek pełnił funkcję komory celnej i strzegł pobliskich terenów złotonośnych.

W XV wieku stał się siedzibą rozbójników, w wyniku czego został zniszczony przez mieszczan w 1451 roku. Nigdy nie został odbudowany. Do dziś przetrwała jedynie ściana kaplicy przypałacowej oraz fragmenty murów obwodowych i przyziemia.

Zamek w Rokitnicy zaliczany jest do najstarszych murowanych zamków w Polsce.

Bogusław Cetera (dla przyjaciół Bogdan) ma za sobą bogatą działalność w różnych dziedzinach. Był budowniczym jedenastu zakładów produkcji kruszyw budowlanych, naczelnikiem miasta oraz naczelnikiem miasta i gminy (odpowiednik obecnego burmistrza), prowadził własną firmę, jest członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej od samego początku jego powstania. Niedawno został prezesem pewnej fundacji.

Rozmowę prowadzi Agnieszka Młyńczak.

Bogdanie, opowiedz jak doszło do powstania fundacji?

Często bywałem na wzgórzu zamkowym w Rokitnicy indywidualnie i jako uczest-

nik rajdów jadvizańskich organizowanych przez TMZZ. Wtedy miałem okazję przyglądać się ruinom średniowiecznego zamku, które tam się znajdują. W pewnym momencie Alfred Michler, autor wielu przedsięwzięć w TMZZ, powiedział do mnie: „Bogusław, jak ty się za to nie weźmiesz, to ta ściana runie!”.

Zamek w Rokitnicy nie leży na terenie miasta, chociaż TMZZ w swoich zadaniach ma między innymi dbać o zabytki na ziemi złotoryjskiej, czyli obszar – mniej więcej – powiatu złotoryjskiego.

W wąskim gronie kilku osób z zarządu TMZZ od kilku już lat analizowaliśmy różne opcje podejścia do uratowania zabyt-

ku w Rokitnicy. Pewne było tylko jedno: z bardzo niewielkimi funduszami stowarzyszenia nie było szans na jakiegokolwiek prace w tym zakresie. Zaczęliśmy poszukiwać sposobu na pozyskanie funduszy. I wtedy ja – nie chwając się – wpadłem na pomysł utworzenia fundacji.

Ale przecież TMZZ podczas swojej wieloletniej działalności z czymś takim jak fundacja nie miał nigdy do czynienia.

Tak, zgadzam się, nigdy! Lecz ja mam ukończone prawo administracyjne i to w życiu nieraz mi pomogło. Teraz też z tego skorzystałem. Najtrudniejsze w rozpoczęciu działań fundacji na rzecz ratowania zabytku w Rokitnicy jest skomplikowane prawo własności. Otóż Gmina Wiejska Złotoryja na swojej stronie internetowej szczyty się tym zabytkiem i zachęca do zwiedzania, lecz wójt nie jest ani właścicielem zamku, ani terenu. Prawowitym właścicielem terenu, na którym stoi zamek, jest Nadleśnictwo Złotoryja, a więc i właścicielem zabytku. I to jest mina, z którą należy się obchodzić bardzo ostrożnie. Dodatkowym kłopotem jest fakt, że zabytek nie występuje na mapach geodezyjnych. A przecież do projektu budowlanego niezbędny jest tzw. podkład geodezyjny, czyli szczegółowa mapa. No i sprawa procedur u konserwatora zabytków.

Co w tej sprawie poczyniliście?

Wróćmy do czasu, gdy jeszcze nie ma fundacji. Jako TMZZ zwróciliśmy się z prośbą do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Legnicy o pomoc i konsultacje przy realizacji procedur dotyczących ratowania ruin zamku księcia Henryka Brodatego w Rokitnicy. A kilka miesięcy później informujemy tegoż konserwatora o powstaniu grupy inicjatywnej badającej losy powstania zamku i jego dzieje. Zaproponowaliśmy trzy etapy działań ratowania resztek ruin. Było to pamiętne dnia **26 lipca 2022 roku**.

Możemy zatem mówić o „prefundacji”?

Tak, to był ten historyczny moment. Dołączyliśmy zgodę od konserwatora na podjęcie działań, lecz postawiono nam warunki. Musieliśmy mieć projekt techniczny prac zabezpieczających i pomiary geodezyjne. Wtedy już nie było wyjścia, trzeba było stworzyć fundację.

Kto należał do grupy inicjatywnej?

Na czele stałem ja, czyli Bogusław Cetera, a ponadto Alfred Michler, Jan Wolski i Józef Banaszek (on później zrezygnował). Powiedziałem wtedy: „Panowie, ja biorę na siebie doprowadzenie do powstania fundacji”. Miałem być fundatorem, ponieważ cechą zasadniczą fundacji jest posiadanie kapitału. Musiałem wpłacić najmniejszą możliwą kwotę, czyli cztery tysiące złotych.

Założenie fundacji to bardzo dużo tak zwanej papierologii, prawda?

Oczywiście! Najpierwszą rzeczą jest napisanie statutu przez fundatora. Bardzo po-

mógł mi w tym mój syn Sylwester Cetera, który jest prawnikiem i ma swoją kancelarię radców prawnych i adwokatów CDD Legal we Wrocławiu. Jednocześnie należało powołać zarząd fundacji, w którym miały zasiadać cztery osoby. Prezes – **Bogusław Cetera**, zastępca **Jan Wolski**, oraz członkowie **Grażyna Staronka** i **Alfred Michler**.

Super! Cieszę się z tej kobiety, bo już myślałam, że sami mężczyźni.

Zgadza się. Poza tym – zgodnie z przepisami – należało powołać radę nadzorczą. I to są przedsiębiorcy: **Piotr Stryczek**, **Janusz Prus** i **Ryszard Pękała**. Następnie, mając już wszystkie niezbędne dokumenty, udałem się do notariusza we Wrocławiu. Znów wspomagał mnie w tym syn Sylwester. Jestem mu za to bardzo wdzięczny! **Muszę zaznaczyć, że żadna z osób w zarządzie i radzie fundacji nie będzie brała wynagrodzenia za swoją pracę.**

Jak to się odbyło to u notariusza, wystarczyła jedna wizyta?

Tak, to była tylko jedna wizyta! Myśmy z synem czekali, aż notariusz wyjdzie do nas z gabinetu, gdzie przygotowywał dokumenty. Następnie wezwał nas, kazał przeczytać i podpisać akt notarialny, który zawierał jedynie DWIE strony. Podpisałem się imieniem i nazwiskiem jako FUNDATOR. Trwało to bardzo krótko, kilka minut. To wszystko następnie trzeba było zarejestrować w sądzie. Wypełnianie dokumentów online trwało długie cztery godziny, chociaż robili to doświadczeni pracownicy kancelarii mojego syna. To się działo 1 września 2023 roku, a w dniu **6 września 2023** zostaliśmy zarejestrowani.

I to jest historyczna data powstania fundacji. Jaką ma nazwę?

FUNDACJA ZŁOTORYJA NAJSTARSZE MIASTO W POLSCE z adresem: Złotoryja, ul. Klasztorna 10 A/4. A tu, popatrz, to jest nasz papier firmowy, który ma w logo obraz naszej rodzimej malarki Jadwigi Dyląg, która wyraziła na to zgodę bez gratyfikacji finansowej.

Wykład „Zamki Piastów Śląskich w tym zamek w Rokitnicy” doktora Przemysława Nocunia był waszym pierwszym zadaniem zgodnie z celami, jakie sobie postawiliście? Moim zdaniem temat wykładu przygotował członków fundacji oraz zainteresowanych złotoryjan do tego, z czym przyjdzie się zmierzyć na wzgórzu w Rokitnicy.

Też tak sądzę. Uważam, że to był jeden z lepszych wykładów, jakie słyssałem w Złotoryi. Chcę powiedzieć, że burmistrz Robert Pawłowski wspinałomyślnie zaoferował się zasponsorować nam ten wykład z uwagi na to, że fundacja dopiero co rozpoczyna działalność. Bardzo za to dziękujemy.

Jakie są najbliższe plany fundacji?

Doprowadzenie do spotkania przedstawicieli Nadleśnictwa Złotoryja i Gminy Wiejskiej Złotoryja oraz naszej fundacji, jak działać w warunkach skomplikowanej sytuacji własnościowej zamku. Trzeba ten problem koniecznie rozwiązać. Poza tym musimy zacząć pozyskiwać fundusze. Co do tego ostatniego, jestem dobrej myśli.

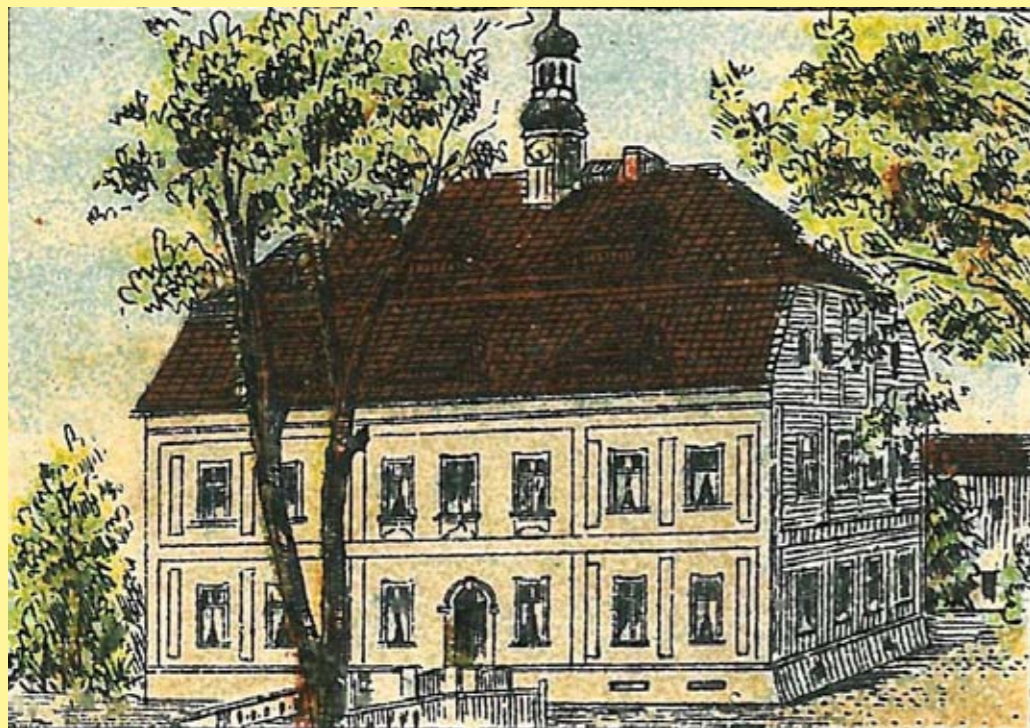
Macie jakiś kalendarz działań na zamku, jakiś modus operandi?

Obecnie jest już na ukończeniu projekt techniczny zabezpieczenia murów, czyli resztek zabytku. Projekt wykonuje Jerzy Gryszkiewicz. Należy też zawiadomić konserwatora zabytków, kto będzie kierownikiem budowy i jeszcze trzeba wyłonić wykonawcę. A prace w terenie, w Rokitnicy, planujemy rozpocząć w kwietniu 2024 roku, po sezonie zimowym.

Na koniec jedną rzecz chciałbym dodać. Korzystając z okazji, zwracam się do czytelników oraz mieszkańców Złotoryi i całej ziemi złotoryjskiej o dobrowolne wpłaty na konto fundacji: **83 1020 3017 0000 2302 0615 0579**. Z góry dziękuję.

Panie prezesie, życzę fundacji dużych wpłat oraz owocnych działań i realizacji celów, które sobie postawiła.

*Agnieszka Młyńczak
Serhii Falkonskiy*



Została tylko fosa

Olszanica kojarzona jest często z postacią Czarnego Krzysztofa - legendarnego burgrabiego z zamku Gryf, który miał swą siedzibę w drewnianym dworze w dolnej części tej wsi. O nim i jego rozbójniczej działalności pisał Mariusz Łesiuk w nr 10 i 12/2008. Nie wszyscy jednak wiedzą, że mijając teren, gdzie znajdował się dwór owego Raubrittera - rozbójnika, dochodzimy na teren dawnego dworu, z którego obecnie pozostały resztki fosy i zarośnięte gruzowisko. W 7 tomie „Geografii turystycznej Sudetów” czytamy: „W 1840 r. w Olszanicy Dolnej był dwór z folwarkiem, 2 młyny wodne o 2 kołach, wiatrak, wytwórnia syropu i 109 domów. W 1870 r. majątek ziemski należał do wdowy po Beneku von Gröditzburg, ale we wsi mieszkał tylko dzierżawca Kühn. Z dawnego zespołu dworskiego zachowała się część murowanych zabudowań gospodarczych, magazyn z końca XVIII wieku, przebudowany w XX w. i chlewnia z ok. połowy XIX w., stojące po dwóch stronach długiego dziedzińca. Dziedziniec od południa zamykał obronny dwór nawodny, po którym zachował się tylko fragment fosy”. Po wojnie ulokowano w dawnym folwarku PGR, potem RSP „Przyszłość”. Należy dodać, że istnieje jeszcze nieduży budynek mieszkalny, na którego ścianie od strony dziedzińca, na wysokości drugiego piętra, znajduje się stosunkowo dobrze zachowany herb. Budynki gospodarcze są własnością prywatną.

Udało mi się dotrzeć do publikacji z 1999/2000 byłego mieszkańca Olszanicy - **Ehrenfrieda Kummera** pt. „Erinnerungen

an das schlesische Dorf Alzenau im Kreis Goldberg” („Wspomnienia o śląskiej wsi Olszanica w powiecie złotoryjskim”), który tak opisuje nieistniejący majątek: „Posiadłość **Nieder-Alzenau** (Dolna Olszanica) znajdowała się także na początku XIX wieku pod panowaniem pana na Grodziecu von Dirksena. W latach 1927/28 przejął tę posiadłość rycerską dyplomowany rolnik - rotmistrz Herbert Giesecke, który w ciągu kilku lat doprowadził ją do bardzo dobrego stanu. Całość majątku obejmowała ok. 250-300 ha. Z tego ok. 160 ha pól uprawnych, 55 ha pastwisk i łąk, a 45 ha przypadła na lasy, stawy i podwórze. Na pierwszym miejscu była tu hodowla zwierząt, w

ten sposób dwór miał duże pogłowie bydła, m.in. 12 koni (przeważnie klaczy), liczne żrebięta, ok. 50 krów mlecznych z odpowiednim przychowkiem. W podobnym stanie była także hodowla świń i drobiu. Jak sobie przypominam, było także stado owiec. Majątek posiadał także duży park maszyn oraz dwa traktory z przyczepami i maszynę parową. Dwie oddzielne stodoły polowe zabezpieczały bogaty zbiór. Dwa domy dla robotników były włączone bezpośrednio do budynków gospodarskich. Inspektorem majątku był najpierw pan Franke, potem pan Kaul i Fritz Herrmann. Pani Krummschmidt była zatrudniona jako sekretarka.”

Pierwsi olszaniccy osadnicy zachowali w pamięci, nieistniejący już, dwór w dolnej części wsi, który mogli osobiście zobaczyć, zanim został spalony w 1947 roku przez stacjonujących w nim żołnierzy rosyjskich. Ich wspomnienia, zapamiętane przez Marcina Karasińskiego, ukazały się na Facebooku na stronie „Kroniki Alzenau – zapomniane dzieje Olszanicy”. Zawsze używali słowa pałac na określenie budowli, którą pamiętali.

Pan **Luszk**a opowiadał o czołgach T-34, idących drogą polną od strony Modlikowicy (niem. Modelsdorf) do folwarku w Olszanicy. Zastali potężne zabudowania gospodarcze: stodoły i obory. W stodołach można było jeszcze znaleźć resztki płodów rolnych po byłych gospodarzach, obory i stajnie stały puste. Niemcy, opuszczając te tereny w popłochu przed zbliżającym się frontem, zabierali tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Opisuje, że zastał gospodarstwo całkowicie opustoszałe, biegały tam tylko dwie kury, których nikt nie zdążył złapać. Jakaż była jego radość, kiedy to właśnie jemu to się udało. Miał dzięki temu zaczątek swo-

jej własnej hodowli i o dziwo - jajka od niemieckich kur smakowały zupełnie tak jak polskie. W oborach znalazł kilka sztuk martwych zwierząt, m.in. krowy i konie. Na podwórzu stały maszyny rolnicze, któ-

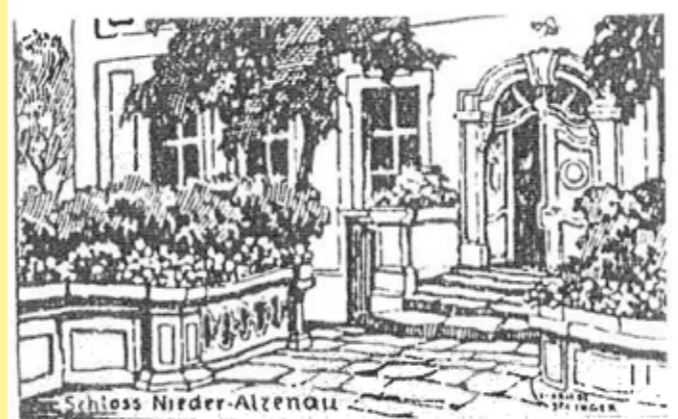
rych przeznaczenia, oprócz pługu, nawet nie znał. Nad gospodarstwem górował pałac. Na jego szczycie stała piękna wieżyczka wraz z zegarem. Mówił: „Bałem się wejść do niego, pomimo otwartych na oścież dwuskrzydłowych drzwi. Widziałem tylko piękne brązowe boazerie i schody wyścielone czerwonym dywanem. Bogaci ludzie musieli tu mieszkać. Przy pałacu rosły akacje. Patrząc przez otwarte drzwi widziałem drugie wejście, do którego wchodziło się z drugiej strony przez kamienny mostek. Wokoło, niczym fosą, pałac otoczony był pięknym stawem, w którym pływało dużo ryb”. Teren folwarku stał się natychmiast terenem zamkniętym i niedostępnym dla innych. Z dwóch stron dojazdu do gospodarstwa postawiono wartowniki, a na bramach zawisły czerwone gwiazdy. Sowieci zrobili sobie w folwarku punkt zborny całego zagrabionego majątku z pobliskiej okolicy.

Pan **Franciszek Grochowski** opowiedział z kolei o swojej, nie do końca dobrowolnej wizycie w pałacu: „Urzędował tam tzw. komisarz. Był on w Olszanicy wtedy „królem życia i śmierci”! Odważyłem się tam pójść ze skargą na jego podwładnych. Ci „krasnoarmiejcy”, zarówno w dzień, jak i w nocy próbowali nas ograbić z majątku. W tamtych czasach nawet kura była dla nas cenna... Podszedłem pod kutą zieloną bramę, na której zawieszona była czerwona gwiazda. Przed bramą rozłożony był namiot, a w nim skośnooki czerwonoarmista gotował sobie jedzenie. Gdy mnie zobaczył, wstał i w samych onucach podszedł do mnie i zapytał, czego chcę. Chce do komisarza, bo chcielibyśmy zaprosić go na uroczystość - skłamałem. Wskazał mi na pałac. Poszedłem. Kiedy doszedłem do dużych dwuskrzydłowych drzwi wyszła z nich, jak się domyśliłem - służąca Niemka z wiadrem w rękę. Otwieram

drzwi, widzę duży hol, po prawej stronie schody wyścielone czerwonym dywanem, naprzeciw holu duży kominek, obok którego było dużo kartek papieru i skorupki od jajek. Na ścianach była brązowa boazeria, na której było wiele trofeów myśliwskich. Stoje. Otworzyły się drzwi i zobaczyłem oficera, miał dużo odznaczeń na pierś. Powiedziałem, że chciałbym widzieć się z komisarzem. Zaprosił mnie na górę. Widzę długi korytarz, gdzie z jednej i drugiej strony wiszą obrazy. Oficer puka do drzwi. Pamiętam, że pierwszy raz w życiu widziałem okrągłe klamki. Wchodzimy do pokoju, widzę brązową boazerię, duże biurko, duży dywan i kominek, na którym leżały rulony papieru. W środku panował bałagan, na parapetach leżały potłuczone szkła. Czułem zapach dymu papierosowego i alkoholu. Na łóżku z baldachimem leżał komisarz, przykryty kołdrą, spod której wystawały buty oficerki, na szafce nocnej leżał pistolet. Oficer podszedł do komendanta i go zbudził. Ten zerwał się na nogi. Popatrzył na mnie i zapytał, kim jestem i czego chcę. Obrócił się do mnie tyłem i powiedział, że jakby miał karać każdego swojego żołnierza za takie błażostki, to musiałby walczyć sam. Wyszliśmy z gabinetu komendanta, ów oficer zwrócił się do mnie, żebyśmy jeszcze trochę wytrzymał, bo oni niedługo stąd wyjadą. Był bardzo kulturalny, więc ośmieliłem się go poprosić, aby pomógł mi odzyskać mój złoty łańcuszek, który zerwał mi z szyi wartownik przy bramie. Odzyskałem swój „skarb” i coś jeszcze - dwie konserwy mięsne. Nigdy więcej już w pałacu nie byłem.”

Jego żona Maria - w rozmowie z Mateuszem Wilkiem również wspomniała o dworze: „Raz udało mi się być w pałacu w Olszanicy na korytarzu, bo starsza siostra Niemki, co u Sokołowskiej mieszkała sprzątała tam. Ładny to był budynek. W korytarzu była boazeria i czerwona tapeta na ścianach. Dalej były przeszkłone drzwi. Zwykle nie mogliśmy tam wchodzić, bo żołnierze sowieccy pilnowali budynku. Przed pałacem znajdował się staw i pomost. Jedną z dziewczynek z PGR-u utopiła się tam, spadła z pomostu. Miała 4 lata. Dookoła pałacu był pięknie zagospodarowany ogród ciągnący się w stronę młyna.” **Jan Pronkiwicz** pamiętał także grządki z warzywami i bardzo smacznymi truskawkami, których pilnowali sowieci. W wywiadzie z nim, który ukazał się w „Echu” w nr 11/2022 opowiada o pałacu i jego pożarze. Szkoda, że dwór olszaniczki nie przetrwał, podobnie jak wiele innych w naszej okolicy, trudnej, powojennej rzeczywistości.

Wioleta Michalczyk



TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ



Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej liczy sobie 36 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej,
59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: tmzz@tmzz-zlоторыja.pl, tel.: 57 125 4353

TMZZ zdobył tytuł
Laureata w VI edycji
konkursu zDolne NGO

- * OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEŁÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ
- * ECHO ŻŁOTORYI
- * BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ
- * ŻŁOTORYJSKI KLUCZ SUKCESU
- * KLUB WIOSNIAN
- * KLUB KOLEKTORÓW
- * RAJDY I WYJEŻDY ŚW. JADWIGI PRZEZ ŚW. WAWELNIA

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w latach 2020 - 2023:

- ✓ XXV Rajd Jadwiński w 2022 r.,
- ✓ Dwa filmy nakręcone w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa w 2020 i 2021 r.
- ✓ XIV tom Biblioteczki Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej pt. „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Żłotoryi”
- ✓ XIX Powiatowy Dzień Regionalisty pod hasłem „Wilcza Góra wczoraj i dziś”
- ✓ Odbudowa Obelisku Ludzkiego Przemijania

ECHO ŻŁOTORYI

GALERIA SPONSORÓW



Powiatowy Bank Spółdzielczy w Żłotoryi

Grupa BPS



PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212



Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlоторыi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młynczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.

Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - ul. Stanisława Staszica w Żłotoryi

ECHO ŻŁOTORYI



Echo Żłotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

